STRON 8 CENA 15,— zł

POLSKA ZACHODNIA

TYGODNIK ILUSTROWANY

ROK IV NR 29 (154

POZNAŃ, 25 LIPCA 1948 R.

DZIŚ W NUMERZE: Andrzej Porębski: Trzy dokumenty — Wiktor Kościński: Od daniny narodowej do W. Z. O. — Eugeniusz Paukszta: Zemsta Walentego — Dr A. Klafkowski: Proces Buehlera — Jak miliarderzy uzbrajali Hitlera — Jan Gawryła: Dorobek literacki Z. O. — A. W. Walczak: Zygzakiem po Szklarskiej.. — Wacław Hantusz: Świdnica — kolebka polskich rękawiczek — Stanisław Sawicki: Ziemia mlekiem płynąca.

ANDRZEJ PORĘBSKI

TRZY DOKUMENTY

jedna wola zniszczenia Poczdamu

Rozbijanie Niemiec przez imperialistyczną politykę anglo-amerykańską i niszczenie podstawowych założeń umowy poczdamskiej dobiega końca. Wypadki toczą się obecnie w tak zawrotnym tempie, że należy w krótkich odstępach czasu dokonywać przeglądu sytuacji na tym odcinku, w celu zachowania jakiej takiej orientacji. Ażeby zrozumieć wartkość polityczną Stanów Zjednoczonych i Anglii w zakresie tworzenia odrębnego państwa tzw. zachodnio-niemieckiego, należy sobie uświadomić zasadnicze stacje węzłowe tej polityki na przestrzeni ostatnich sześciu tygodni. Tak, sześciu tygodni — bo w tak krótkim czasie polityka anglo-amerykańska zdołała zadać ostateczny cios umowie poczdamskiej i zmontować twór, który ma do reszty zlikwidować te żywotniejsze postanowienia poczdamskie, które jeszcze się ostały. Te główne stacje węzłowe po stronie anglo-amerykańskiej to trzy konferencje:

6 czerwca — konferencja w Londynie,

1 lipca — konferencja we Frankfurcie n. M.,

8 lipca — konferencja w Koblencji.

Należy się teraz zastanowić nad rozwojem polityki anglo-amerykańskiej w świetle ogłoszonych już wyników tych trzech konferencji.

Konferencja londyńska zakończona znanym komunikatem z 6 czerwca „wyprostowała" linię polityczną sześciu państw, które zdecydowały się pogrzebać ostatecznie jedność kontrahentów umowy poczdamskiej i utworzyć odrębne, na agresywnych i rewizjonistycznych zasadach oparte państwo zachodnio-niemieckie. Te państwa to: Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, Francja, Belgia, Holandia i Luksemburg. Ostatnie trzy państwa, znane już dzisiaj pod skrótem Benelux, podpisały chętnie komunikat londyński w nadziei, że za ten podpis otrzymają rozmaite ustępstwa graniczne ze strony tzw. państwa zachodnio-niemieckiego. To była prawdopodobnie główna siła napędowa państw Benelux do wzięcia udziału w konferencji londyńskiej. Ale punkt 4 komunikatu londyńskiego ujął zagadnienie zachodniej granicy niemieckiej bardzo delikatnie, wyżej sobie widocznie ceniąc względy niemieckie, niż jakiekolwiek względy na państwa Beneluxu. Równie delikatnie ukrył komunikat londyński w punkcie 50, że odwrót wojsk okupacyjnych z państwa tzw. zachodnio-niemieckiego nie jest bynajmniej faktem, który rozumie się sam przez się. Przeciwnie, punkt ten przewiduje okupację tzw. terytoriów kluczowych nawet po zakończeniu okupacji, po utworzeniu upragnionego państwa zachodnio-niemieckiego i po dokonaniu całkowitej — jak to się mówi — demilitaryzacji zachodnich Niemiec. Jeżeli dodamy do tego utworzenie specjalnego „międzynarodowego" nadzoru nad Zagłębiem Ruhry, jeżeli stwierdzimy, że te organa „międzynarodowe" to właściwie są władze angielskie i amerykańskie — wtedy otrzymamy pełny obraz eliminacji Francji, państwa Benelux, a wreszcie także i przyszłego państwa zachodnio-niemieckiego z wszelkiej kontroli nad Zagłębiem Ruhry. W zamian komunikat londyński rysuje mgliste formy ustrojowe przyszłego państwa niemieckiego, uzależniając realizację tych form od zgody naczelnych dowódców wojsk okupacyjnych. To są istotne postanowienia konferencji londyńskiej. Szczegóły są zbyt znane, aby je tutaj powtarzać.

Główne wytyczne komunikatu londyńskiego wraz z ich uzasadnieniem zostały przedstawione premierom krajów w strefach zachodnich Niemiec na konferencji we Frankfurcie n. M., odbytej 1 lipca br. Dowódcy zachodnich stref okupacyjnych ujęli postanowienia londyńskie w trzech dokumentach. Oto ich treść: Dokument I poświęcony jest zagadnieniom ustrojowym przyszłych Niemiec zachodnich. Najpóźniej do dnia 1 września 1948 r. ma był zwołana konstytuanta, złożona z posłów rekrutujących się w określony sposób. Konstytuanta ma opracować taki akt konstytucyjny, który zadowoliłby wszystkie kraje zachodnich stref okupacyjnych, ma być przez te kraje przegłosowany, przyjęty określoną większością — no i zatwierdzony przez dowódców wojsk okupacyjnych. W ten sposób na premierów krajowych nałożony został ciężki obowiązek opracowania konstytucji państwa zachodnio-niemieckiego według wytycznych władz okupacyjnych. Na drodze faktycznej zebranie premierów krajowych zamieniło się w pewnego rodzaju prezydium premierów zachodnio-niemieckich, i na to prezydium spadło zadanie tak ciężkie, że trudno się dziwić reakcji premierów krajowych. Nieznane są jeszcze szczegóły dyskusji, ale nawet agencje amerykańskie informowały, że nastrój wśród premierów podczas konferencji frankfurckiej był tak przygnębiony, iż dowódca amerykańskiej strefy nie mógł nakłonić tych premierów do odpoczynku przy bufecie podczas przerw w konferencji. Zresztą ten sam gen. Clay oświadczył po prostu, że jakiekolwiek zmiany w dokumentach frankfurckich są bezcelowe, nie będą brane pod uwagę przez Anglię i przez Stany Zjednoczone, a rola premierów krajowych polega tylko na przyjęciu tych postanowień i wprowadzeniu ich w życie. Dokument II przedstawiony na konferencji frankfurckiej dotyczy zmian granic między poszczególnymi krajami w strefach zachodnich. Celem tych zmian jest uniknięcie liczebnej przewagi jednych krajów nad drugimi. W gruncie rzeczy zmiana granic krajowych stanowi wstęp do zmiany zachodniej granicy przyszłego państwa tzw. zachodnio-niemieckiego. W płynnym stanie zmian granic krajowych łatwiej przemyci się tzw. poprawki graniczne, żądane przez państwa Benelux. Dokument II o tym oczywiście nie wspomina. Ale warto przypomnieć, że Zagłębie Saary jest już izolowane przez Francję, Zagłębie Ruhry „umiędzynarodowione" przez Anglię i Stany Zjednoczone, a teraz kolej na tzw. poprawki graniczne z państwami Beneluxu. Dokument III przedstawiony we Frankfurcie zawiera szczegóły tzw. statutu okupacyjnego, mającego stanowić prawną podstawę stosunków między okupantami, a tzw. państwem zachodnio-niemieckim. Istotna treść dokumentu III sprowadza się do tego, że faktycznymi władcami państwa zachodnio-niemieckiego będą w dalszym ciągu dowódcy wojsk okupacyjnych. Oni będą decydować o niemieckiej polityce zagranicznej, ich „troska" otoczy stosunki państwa zachodnio-niemieckiego z innymi państwami, do nich należy kontrola i kierowanie całym życiem gospodarczym i społecznym państwa zachodnio-niemieckiego. Pod tym względem statut okupacyjny stanowi wyraźne oświadczenie, że okupacja pozostanie okupacją — wbrew dokumentowi I, rysującemu wizję rzekomej państwowości zachodnio-niemieckiej. Konferencja frankfurcka miała dostarczyć niemieckim premierom krajowym materiału do rozważań w ich własnym gronie.

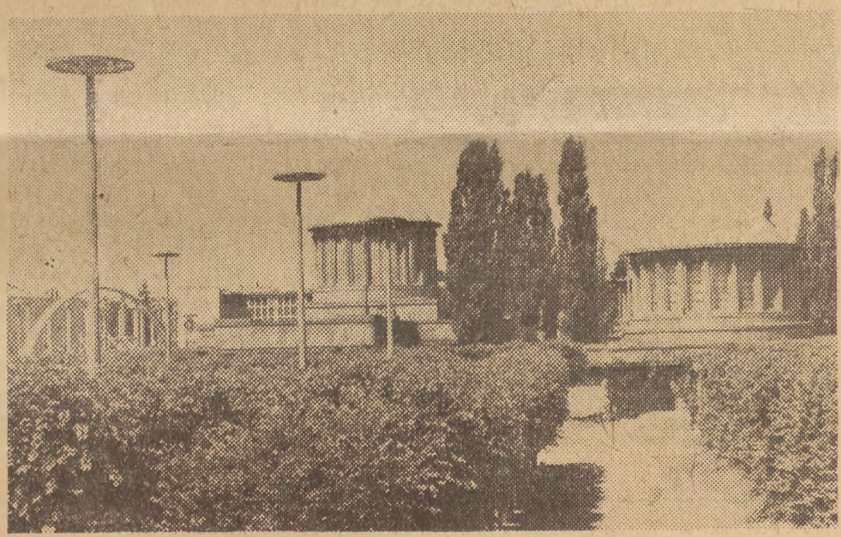

Pawilon „Czterech kopuł" na Wystawie Ziem Odzyskanych we Wrocławiu

Trzecia konferencja odbyła się w Koblencji 8 lipca. Brali w niej udział niemieccy premierzy krajowi ze stref zachodnich, dyskusje odbywały się przy drzwiach zamkniętych. Do tej pory nie wydano szczegółowego komunikatu obrazującego przebieg tej konferencji. Wiadomo jedynie z doniesień prasowych, że krajowi premierzy niemieccy z wielkim zakłopotaniem rozważali dokumenty frankfurckie. W rozważaniach swych doszli premierzy krajowi do wniosku, że przy rozstrzyganiu zagadnienia struktury politycznej państwa tzw. zachodnio-niemieckiego konieczne jest unikanie nazwy „rząd". Jest to najlepszym dowodem, że niemieccy premierzy krajowi wzbraniają się być powolnym narzędziem polityki anglo-amerykańskiej, pragnącej przerzucić ciężar odpowiedzialności za obecne i przyszłe posunięcia okupacyjne, właśnie na tych premierów niemieckich. Dalsze zastrzeżenie w Koblencji podniosły się przeciwko konstytucji państwa tzw. zachodnio-niemieckiego. Krajowi premierzy niemieccy proponują również unikać nazwy konstytucji, a zamiast tego określić jedynie statut administracyjny tego terytorium. Nie chcą oni również sądu zachodnio-niemieckiego, a na to miejsce proponują utworzenie „rady parlamentarnej" pochodzącej z wyborów pośrednich przez sejmy krajowe. Wreszcie krajowi premierzy niemieccy bynajmniej nie kwapią się do dokonania zmian granic między krajami w strefach zachodnich. Ich zdaniem nie należy na razie tych zmian przeprowadzać — nie wypowiedzieli się jednak czy i kiedy ich zdaniem dojrzeje sytuacja do dokonania takich zmian. Najbardziej charakterystyczna jest uchwała koblencka domagająca się utworzenia niemieckich „konsulatów ekonomicznych", których celem jest nawiązywanie bezpośrednie stosunków gospodarczych między przyszłym państwem zachodnio-niemieckim a zagranicą. Uchwała ta w sposób dobitny wypowiada brak zaufania krajowych premierów niemieckich do proponowanego we Frankfurcie nadzoru dowódców anglo-amerykańskich wojsk okupacyjnych nad całością stosunków państwa zachodnio-niemieckiego z zagranicą. Wszystkie te uchwały, które zapadły w Koblencji wskazują na niechęć krajowych premierów niemieckich do poddania się uchwałom konferencji londyńskiej i wykonania trzech dokumentów frankfurckich.

Sumując ten stan faktyczny można dojść do pewnych jasnych i oczywistych wniosków. Trzy konferencje zorganizowane przez wspólną politykę Anglii i Stanów Zjednoczonych ożywione są jednym duchem — chęcią zupełnego zniszczenia postanowień poczdamskich. Trzy dokumenty frankfurckie mają jeden wspólny cel — przekreślenie wszystkich postanowień poczdamskich. Wszystkie te konferencje i wszystkie te dokumenty, bez względu na ich liczbę, stanowią jedno wiarołomstwo w obrocie międzynarodowym. Jest rzeczą znaną ze stosunków międzynarodowych, że jedno wiarołomstwo pociąga za sobą dalsze, że w takich wypadkach szczególnie jaskrawo występuje prawo serii. Polityka Anglii i Stanów Zjednoczonych wkroczywszy raz na drogę łamania postanowień poczdamskich, brnie bez pamięci w nieustannym podważaniu dokumentu, który stanowi podstawę pokojowego urządzenia stosunków w powojennej Europie.

Wystawa Wrocławska

obrazuje tempo polskiej pracy

w odbudowie, zaludnieniu i zagospodarowaniu odzyskanych Ziem Zachodnich. Jest ona zarazem sprawdzianem żywotnych sił ludu pracującego, który niepłonną wolą i bezprzykładnym wysiłkiem utrwalił po wieczne czasy granice na Odrze, Nysie Łużyckiej i Bałtyku.

WIKTOR KOŚCIŃSKI

Od daniny narodowej do Wystawy Ziem Odzyskanych

Sto tysięcy działaczy społecznych, politycznych i zawodowych, rozsianych w tysiącach miejscowości w całej Polsce żywo jeszcze pamięta wielką imprezę społeczną, wielki zryw narodowy na rzecz odzyskanych Ziem Zachodnich, który wspólnie realizowaliśmy na wezwanie Rządu w początkach 1947 r., a któremu na imię Danina Narodowa na zagospodarowanie Ziem Odzyskanych.

Wówczas to **w ciągu dosłownie pięciu dni** powstało ponad cztery tysiące Komisji Obywatelskich Daniny Narodowej na szczeblu wojewódzkim, powiatowym, miejskim i gminnym. W dniu 13 listopada 1946 r. uchwalony został Dekret o Daninie Narodowej, a już w dniu 3 grudnia tegoż roku ponad 4 tysiące przedstawicieli społeczeństwa całej Polski słuchało przemówień Obywatela Prezydenta Rzeczypospolitej, który raczył sam przybyć na Kongres Daniny Narodowej w celu podkreślenia ważności sprawy odzyskanych Ziem Zachodnich dla Państwa i Narodu, ob. Wicepremiera i Ministra Ziem Odzyskanych, ob. Ministra Skarbu i ob. Prezesa Centralnego Urzędu Planowania, ponadto przemówień przedstawicieli wszystkich województw i referatu Pełnomocnika Rządu do spraw Daniny Narodowej. W ciągu następnych czterech tygodni, do końca 1946 r. wpłynęło na Daninę Narodową 7 miliardów złotych, w ciągu dalszych dwu tygodni około 5 dalszych miliardów, łącznie w ciągu sześciu tygodni uzyskaliśmy około 12 miliardów złotych, które mogły pozwolić nam na nieobniżenie, a przeciwnie na zwiększenie tempa inwestycji na Ziemiach Zachodnich, mimo nieurodzaju, powodzi, surowej zimy i wstrzymania przyrzeczonej pounrrowskiej pomocy.

Oto było prawdziwe polskie tempo zastosowane wówczas przez nieliczny zespół centralnego kierownictwa i przez olbrzymią masę pracowników skarbowych, samorządowych, a przede wszystkim przez niemal sto tysięcy aktywistów społecznych i politycznych na wszystkich szczeblach organizacyjnych. Wynikiem mogliśmy się pochlubić wobec swoich i obcych.

Jeszcze jednym ofiarnym czynem Naród Polski zadokumentował swą niezłomną wolę scalenia odzyskanych Ziem Zachodnich z Macierzą po wszystkie czasy.

Ta ofiara nie poszła na marne. Nie została stracona na luksusowe nonsensy, które pochłonęły w roku 1933 tak ofiarnie przez polskie społeczeństwo złożoną Pożyczkę Narodową, zmarnowaną bezpowrotnie przez rząd sanacyjny. Przeciwnie — Danina Narodowa pozwoliła uruchomić nowe fabryki, linie kolejowe, porty, kopalnie, huty, szkoły, szpitale, urządzenia kulturalne, pozwoliła zlikwidować dalsze setki tysięcy hektarów odłogów. Oto wynik pracy 1947 r. i połowy roku bieżącego. Oto nasz wspaniały dorobek na ziemiach piastowskich nad Nysą Łużycką, Odrą i Bałtykiem.

Wystawa Ziem Odzyskanych, niezależnie od swego doniosłego politycznego, kulturalnego i technicznego znaczenia, jest niejako plastycznym pokwitowaniem zużycia przez Rząd funduszów uzyskanych z ofiarnego zrywu społecznego, jakim była Danina Narodowa. Toteż pozostaje w ścisłym związku z Daniną, a przede wszystkim z pracą tych wszystkich, którzy tak ofiarnie i bezinteresownie przyczynili się do propagandy sprawy odzyskanych Ziem Zachodnich.

Podobnie, jak akcja Pożyczki Odbudowy Kraju, tak i akcja Daniny Narodowej zakończyła się rozdaniem dyplomów i odznak honorowych tym wszystkim, którzy zasłużyli się w akcji propagandowej. Dziś Komitet Ścisły Wystawy Ziem Odzyskanych, pragnąc choć w pewnej skromnej mierze uczcić pracę osób zasłużonych przy akcji Daniny Narodowej postanowił wszystkim posiadaczom honorowej srebrnej odznaki Daniny Narodowej i dyplomu honorowego tej odznaki przyznać prawo jednorazowego bezpłatnego wstępu na Wystawę Wrocławską, aby w ten sposób umożliwić im zapoznanie się z własnym dziełem.

Wystawa Ziem Odzyskanych jest bowiem niczym innym, jak skróconym obrazem życia i pracy na tych ziemiach, obrazem ich odbudowy i przebudowy, a wszyscy zasłużeni dla Daniny Narodowej są współtwórcami tego pięknego dzieła.

Na Wystawę Ziem Odzyskanych we Wrocławiu śpieszymy więc wszyscy ze srebrną odznaką Daniny Narodowej — z godłem symbolizującym wytrwanie wobec niemieckiej agresji imperialistycznej — wracamy zaś z pamiątkową odznaką Wystawy — trzema łukami i strzelistą iglicą, symbolizującymi pracę dla lepszego jutra Polski.

Przygotowania na Wystawę Ziem Odzyskanych

P. B. U. „ORBIS" powołało we wszystkich swoich placówkach Delegatury Wystawy Ziem Odzyskanych, które będą miały za zadanie organizację wyjazdów, przy wykorzystaniu przydzielonych przez Ministerstwo Komunikacji nadzwyczajnych pociągów dla Związków Zawodowych, instytucji, organizacji politycznych, społecznych, młodzieżowych, zjednoczeń przemysłowych itd.

Zgłoszenia w/w instytucji i organizacji winny być kierowane do „Orbisu" co najmniej na 2 tygodnie przed wyjazdem, celem należytej organizacji pobytu danej wycieczki we Wrocławiu.

Celem sprawnego wydawania świadczeń w czasie pobytu wycieczek na Wystawie, „Orbis" wypuszcza specjalne karnety świadczeniowe, które będą upoważniały uprzednio kupujących te karnety, do korzystania z noclegów, wyżywienie, zwiedzania i innych świadczeń na Wystawie.

Karnety te będą przygotowane w 3 kategoriach:

1. **Kategoria popularna** obejmująca 1-dniowy pobyt we Wrocławiu, ze śniadaniem, obiadem (1-dniowym), kolacją, noclegiem na sienniku z pościelą, krótkim zwiedzeniem Wrocławia, przejazdami tramwajowymi i opieką przewodników.

Koszt takiego karnetu będzie wynosił około 423,— zł — bez noclegu 320,— zł.

2. **Kategoria turystyczna** obejmuje: śniadanie, obiad (klubowy), kolację, nocleg na łóżku z pościelą, zwiedzanie miasta, przejazdy tramwajowe, opiekę przewodników.

Koszt jednodniowe wycieczki wg kategorii turystycznej wyniesie zł 598,— — bez noclegu zł 371.

3. **Kategoria specjalna** obejmuje: obfite wyżywienie 3 razy dziennie, nocleg w hotelach I lub II kategorii, ewentualnie w domach turystycznych, w pokojach 1 i 2 osobowych, zwiedzanie autobusem Wrocławia, wycieczki lokalne, opiekę przewodników.

Cena pobytu 1-dniowego na wycieczce w kategorii specjalnej wyniesie około 1,700 zł od osoby.

Świadczenia „Orbisu" można będzie również wykupywać oddzielnie na śniadanie, obiad lub kolację itd. Cenę tych świadczeń posiadają wszystkie placówki „Orbisu".

Ceny te nie obejmują biletów wstępu na Wystawę, które będą wynosiły: bilet normalny zł 200,—, dla członków Związków Zawodowych 150 zł, dla wycieczek zbiorowych zł 100. Ministerstwo Komunikacji wydało dla indywidualnie wyjeżdżających na Wystawę i wycieczek udających się na Wystawę dodatkowymi pociągami osobowymi — 50%-wą zniżkę na P. K. P. z tym, że każdy jest obowiązany wykupić normalny bilet do Wrocławia, po ostemplowaniu zaś biletu w kasach „Orbisu" na Wystawie pieczątką wystawy i kolejową, każdy upoważniony jest do bezpłatnego powrotu do miejsca wyjazdu.

Dla wycieczek udających się na Wystawę dodatkowymi pociągami towarowymi, Ministerstwo Komunikacji przyznało 66%-wą zniżkę kolejową z tym, że w wycieczce takiej weźmie udział nie mniej niż 500 osób.

Dodatkowe pociągi będą kursowały do Wrocławia z następujących miejscowości: Gdyni, Olsztyna, Szczecina, Łodzi Kal., Warszawy, Gdańska, Krakowa, Międzylesia, Rzeszowa, Lublina, Katowic, Radomia, Białegostoku.

P. B. P. „Orbis" przypomina, że zamówienia na te pociągi należy zgłaszać na 2 tygodnie naprzód do Delegatur Wystawy przy „Orbisie" czynnych we wszystkich placówkach „Orbisu" w Polsce.

Karnety na świadczenia można wykupywać w miejscowościach, gdzie nie ma placówek „Orbisu" w miejscowych Komunalnych Kasach Oszczędności, które będą zaopatrzone we wszystkie świadczenia, przygotowane przez „Orbis" na Wystawę Ziem Odzyskanych.

Ustka — Żołnierz na straży portu

EUGENIUSZ PAUKSZTA

ZEMSTA

Nie wiedzieć, skąd się Walentemu wzięła taka miłość do koni. Nie pochodził ani z pańskiej, dziedzickiej rodziny, gdzie do dobrego tonu należało trzymanie przynajmniej pary wierzchowych, nie mówiąc już o czwórce cugowych. W wojsku przy dragonach nie służył. Po ojcu też tego nie wziął — stary troskał się tylko o to, aby jakaś tam szkapina do orki i zwózki była przy gospodarstwie.

Przyszło to nań samo już od dziecinnych dni. Wiele to razy, czujnym uchem łowiąc tętent gdzieś z dala na drodze, wybiegał w kusej koszulinie, na kabłąkowatych swych nogach przed dom i szeroko otwartymi oczyma pożerał smukłą sylwetkę cwałującego pod paniczem ze dworu płomiennego araba. Z jak nieukrywaną zazdrością spoglądał potem na odzianego w liberię stangreta, powożącego z fantazją parą bułanych cugowych.

Do dziś stały mu jak żywe w pamięci te dwa tygodnie, gdy w pobliskim miasteczku stacjonował oddział wojska. Dragoni. Miał już wtedy dwanaście lat i trochę mu rozumu przybywało z czasem. Ale na widok koni tracił głowę zupełnie. Z palcem, jak za szczenięcych dni wetkniętym w gębę, przestawał godzinami za płotem, przyglądając się koniom, wszystkim jednakiej, siwawej maści. Tylko rotmistrz miał kasztana. Cudo to było nie koń.

Zaprzyjaźnił się wtedy Walek z ordynansem pana rotmistrza, który miał sobie powierzoną pieczę nad koniem. Osobliwa to była przyjaźń, na różnych obustronnie motywach oparta. Ordynans, tęgi, czerwony parobczak, grzeszył niezgorszym apetytem. Na rękę mu więc było uwielbienie chłopca dla konia. Za prawo rozczesania grzywy, za oczyszczenie zgrzebłem lśniącego, dygocącego napiętymi mięśniami karku, — z łaskawą dobrodusznością przyjmował dary, znoszone mu za to przez chłopca — jaj jakiś dziesiątek, wędzoną kiełbasę, ogórków kilka solonych z beczki. Kradł to Walek jak mógł spod matczynej ręki, nie zważając na grożące mu za to od ojca mocno namacalne argumenty.

Nie odczuwał chytrości parobczaka. Konieczność uiszczania zapłaty za możność podejścia do konia uważał za naturalną. Z jakąż za to radością tulił głowę do szczupłego, rasowego łba końskiego, jak chciwie zaglądał w wilgotne, błyskające życiem oczy, jak wodził dłonią po wysmukłych pęcinach i zanurzał palce w gęstej, jedwabistej grzywie. Gdy któregoś razu kasztan w przystępie dobrego humoru przeciągnął mu raz i drugi szorstkim jęzorem po twarzy, chłopiec omal nie oszalał ze szczęścia.

Gdy oddział wojska opuścił wreszcie okolicę Walkowego obejścia, płakał serdecznie, chciał biec z tyłu za swymi końmi, jak je nazywał, a już osobliwie za pana rotmistrzowym kasztanem. Chodził dzień za dniem smutny, strapiony, wreszcie jednak werwa młodzieńcza wzięła górę. Walek wrócił do siebie, choć nigdy już tych dwu tygodni w swoim życiu nie zapomniał.

Zostały za to konie dworskie. Nie było wśród nich wprawdzie żadnego aż tak pięknego, jak kasztan rotmistrza, ale ż było przecie na co popatrzeć. Do dworu, do stajni Walek nigdy prawie nie chodził. Na jeziorze jednak przebywał codziennie długie godziny. Z ich domu prędko zbiegało się w dół nad brzeg, opłukiwany lekką falą, szumiący oczeretem, w gąszczu którego kryło się małe czółno z jednego pnia wypalone, zwane w tych okolicach „duszehubką". Póki był mały, nie puszczał się w tej wątłej łodzi na głębokie wody korwieńskiego jeziora. Dobry kilometr przedzierał się brzegiem aż do miejsca, gdzie codzień kąpano dworskie konie. Potem zaczął wyjeżdżać na szeroką, daleko wąskim klinem ciągnącą się przestrzeń wodną i stąd, od strony jeziora spoglądał z zachwytem na wynurzające się z wody wśród prysków i parskania, delikatne, żywe nozdrza stadniny majątkowej. Patrzył zachłannie, a coś ściskało go pod sercem, drażniło marzeniem, nie wiedzieć, czy możliwym kiedy do zrealizowania, by mieć w przyszłości choć jednego takiego araba. Żeby już nie trzeba się było patrzeć z daleka, ani wykradać matce słoniny za cenę rozczesania lśniącej grzywy. Żeby móc dowoli pieścić i oko i rękę wspaniałą linią końskiego ciała, a potem dosiąść go i gnać przed siebie, kędy droga i nie droga, a nogami, ręką, całym ciałem wyczuwać grę silnych, potężnych mięśni pod napiętą skórą, przypominającą aksamit matczynej sukni, z pietyzmem przechowywanej na dnie okutej skrzyni.

Z tym umiłowaniem koni Walek popadł po prostu w stan chorobliwy. Zwykle małomówny, dopiero na ten temat zaczynał gadać i gdyby go kto miał chęć słuchać, nie zaprzestawałby godzinami. Gdzie tylko był targ koński, tam zawsze spotkać można było podrastającego syna chłopa z samotnej chaty opodal brzegów korwieńskiego jeziora. Stał z rękoma w kieszeniach, z otwartymi ustami i wtedy tylko żałował, że nie jest bogaty. To by sobie dopiero kupił konia, jakiego i we dworze nawet nie ma!

Miał Walenty lat osiemnaście, gdy odumarła go matka. Coś jej tam w krzyżu trzasło, gdy przenosiła dzieżę z zakisem na chleb. Po paru tygodniach zgasła w ciężkiej niemocy. Stary po jej śmierci też coś się poczuł niezdrowo. Od wilgoci, ciągnącej wciąż od wody jeziora, nabawił się reumatyzmu. Ruszał się coraz wolniej, a w dni

DR A. KLAFKOWSKI

PROCES BUEHLERA

wielka i precyzyjna akjca dokumentacyjna

Proces przeciwko szefowi rządu tzw. Gubernii Generalnej, Józefowi Buehlerowi, odbiega swoim charakterem od procesów przeciwko innym przestępcom wojennym, które się już w Polsce odbyły, względnie, których jeszcze będziemy świadkami. Sprawa Buehlera jest procesem o charakterze — jeśli wolno użyć tych określeń — równocześnie syntetycznym i symbolicznym.

Na czym polega syntetyczność tego procesu?

Przede wszystkim na tym, że nie był to proces przeciwko samemu tylko Buehlerowi. Już we wstępnych przemówieniach prokuratorów, wytrawnych znawców prawa norymberskiego, wytyczone zostały główne linie syntezy tego procesu, wyrażające się w tym, że równocześnie z rozpatrywaniem winy Buehlera miało nastąpić rozpatrzenie metod hitlerowskiej okupacji, metod hitlerowskiego ludobójstwa zorganizowanego na terytorium okupowanej Polski. Od pierwszego dnia procesu było wiadomo, że na ławie oskarżonych przed Najwyższym Trybunałem Narodowym zasiadł Józef Buehler organizator i reprezentant całego zbrodniczego systemu hitlerowskiego. W tym sensie proces przeciwko Buehlerowi ma charakter syntetyczny. Proces ten przedstawił całość zagadnienia okupacji niemieckiej w Polsce. Akt oskarżenia poparli prokuratorzy 180 tomami dokumentów, stanowiących — jak oświadczył prokurator — olbrzymi komentarz do potwornych planów systemu hitlerowskiego, wprowadzonego w życie na terenach okupowanej Polski. Przewód sądowy nie zachwiał żadnym dokumentem. Biegli nie tylko potwierdzili dokumenty, ale rozszerzyli je swoimi syntetycznymi oświadczeniami.

Na czym polega symbolika tego procesu?

Obok Buehlera oskarżane były wszystkie teorie, które doprowadziły do tego, że zbrodniczy system hitlerowski mógł panoszyć się bezkarnie przez tyle lat. Oskarżyciele zdecydowanie podkreślali obecność tych teorii na ławie oskarżonych. Jeden z prokuratorów wprost oświadczył na temat teorii starających się usprawiedliwiać zbrodniczy system hitlerowski i faszystowski: „Twórcy tych teorii nie chcą zrozumieć, że bez poparcia wielkiego przemysłu nie byłoby przewrotu narodowo - socjalistycznego i nie byłoby jego straszliwych następstw". To jedna cecha symboliczna. Ale są jeszcze dalsze cechy symboliczne tego procesu. Buehler prowadził przez cały przewód sądowy zdecydowaną grę — na „nie". A więc o niczym nie wiedział, żadnych okrutnych zarządzeń nie wydawał, nie organizował masowych mordów w Polsce, nie dążył do zniszczenia narodu polskiego, nie kradł itd. Jeden ze sprawozdawców prasowych zanotował na temat tej gry taki zwrot: „Nie zgadzał się ze stanowiskiem Franka, jedynie tylko zdania ich były zgodne co do funduszów na orkiestrę symfoniczną GG (na sali wesołość)". Oczywiście niczego sobie Buehler nie przypomina i nie wiedział o masowych łapankach, rozstrzeliwaniach, i nie wiedział o istnieniu obozów koncentracyjnych. Na tym polega symbolika tego wielkiego procesu.

Pod względem prawnym proces dostarcza jednego w swoim rodzaju uzasadnienia prawnego dla trzech zasadniczych tez aktu oskarżenia. Warto zastanowić się nad tymi tezami i uświadomić sobie ich uzasadnienie. Oto one:

1. Pierwsza teza aktu oskarżenia brzmi: Całokształt działalności hitlerowskich władz okupacyjnych w Polsce był sprzeczny z postanowieniami prawa międzynarodowego. Ta teza została prawnie potwierdzona w wielkim procesie norymberskim. Buehler jako doktor praw znał podstawowe zasady prawa międzynarodowego, znał to wszystko, co w Norymberdze zostało jedynie przytoczone, — a nie stworzone. W Norymberdze poszczególne fragmenty zbrodniczego działania okupanta hitlerowskiego zostały dokładnie opracowane, wyrok skazujący jest łącznym dziełem prawników, reprezentujących wszystkie systemy prawne całego świata. Przebieg okupacji hitlerowskiej w Polsce z punktu widzenia prawa międzynarodowego został również w procesie norymberskim prawnie uchwycony. Pod tym względem pierwsza teza aktu oskarżenia przeciwko Buehlerowi nie wymaga szczególnego omówienia — wystarczy po prostu odsyłacz do wyroku norymberskiego.

2. Druga teza aktu oskarżenia brzmi: Organizacja zwana „rządem GG" była organizacją przestępczą zarówno w rozumieniu prawa międzynarodowego, jak i prawa krajowego, zadaniem jej była eksterminacja narodu polskiego w ostatnim stadium opanowywania ziem polskich. Najwyższy Trybunał Narodowy w procesie przeciwko gubernatorowi warszawskiemu Fischerowi uznał administrację niemiecką w GG i jej kierownictwo za organizację przestępczą. W uzasadnieniu wyroku na Fischera mieści się precyzyjna podbudowa prawna tej tezy. Proces przeciwko Buehlerowi jeszcze dokładniej, jeszcze wyraźniej uzasadnił tę tezę prawną. Akt oskarżenia wywołał ze strony oskarżonego oświadczenie, że dopiero po przeczytaniu tego aktu i zbadaniu dokumentów do niego załączonych — Buehler uznaje, że to wszystko co działo się w GG w czasie jego urzędowania było straszne, było zapierające dech. I znowu przytoczymy fragment ze sprawozdania prasowego: „Przy końcu badania na ten temat, Buehler przyznał, że obecnie uważa system rządów okupacyjnych jako barbarzyński, a kierowników tego systemu jako przestępców, a na pytanie jednego z sędziów: Czy do przestępców zaliczy również oskarżony Hitlera i jego najbliższych współpracowników? Czy ich również oskarżony potępia, jako przywódców i kierowników tego systemu? Oskarżony odpowiada: tak." Przewód sądowy ustalił, że kierownictwo administracji hitlerowskiej w okupowanej Polsce zmierzało do całkowitej likwidacji narodu polskiego w myśl znanych, dokładnie opracowanych planów Hitlera. — Druga teza aktu oskarżenia została podczas przewodu sądowego w jaskrawy sposób udowodniona.

3. Trzecia teza aktu oskarżenia brzmi: Oskarżony Buehler jako „szef rządu GG" jest prawnie odpowiedzialny za całokształt działalności władz hitlerowskich na terenie GG. Jeden z miażdżących dokumentów przedstawionych w akcie oskarżenia przypomina mowę Buehlera do członków rządu GG, podkreślając następujący jej fragment: „Ja nie chcę robić żadnych trudności, ale jeżeli ktoś z panów wierzyłby w to, że ważne, zasadnicze sprawy mogą nie być omawiane ze mną, jeżeli ma nadzieję na to, że z tymi sprawami pójdzie bezpośrednio do gubernatora, to grubo się myli — bo ja do tego nie dopuszczę". Ten dokument podważył całą grę Buehlera, starającego się wykazać, że opracowywał zarządzenia okupacyjne jedynie pod względem formalnym, nie wnikając w ich treść. Przewód sądowy wykazał w zakresie osobistej działalności Buehlera, że podpisał on 91 zarządzeń oraz 16 poleceń z sankcjami karnymi w postaci kary śmierci, więzienia itd. Przewód sądowy ustalił, że na podstawie tych zarządzeń, wiele tysięcy niewinnych ludzi straciło życie. Wreszcie przewód sądowy wykazał, że Buehler zmontował cały aparat organizacyjny w GG, wykonujący hitlerowski plan likwidacji narodu polskiego. Wytyczył on zatem drogę do konkretnej realizacji tego planu i ubierał to zbrodnicze działanie w formy ustaw, rozporządzeń itp. Bezpośrednio Buehler zbrodni nie dokonywał, toteż został zakwalifikowany jako typ „przestępcy gabinetowego", który z daleka kieruje sprawną organizacją przestępczą.

Proces przeciwko Buehlerowi to jedna z największych akcji dokumentacyjnych współczesnej historii polskiej. Zarówno akt oskarżenia, jak przewód sądowy, jak wreszcie uzasadnienie wyroku skazującego — opracowane na przeszło 100 stronach maszynopisu — stawiają tę akcję dokumentacyjną jako wzór.

Potrzeby kulturalne Wybrzeża

Z okazji otwarcia Państwowego Muzem w Gdańsku oraz filii Państw. Pracowni Konserwatorskiej przebywał na Wybrzeżu wiceminister kultury Sokorski, który zapoznał przedstawicieli świata kulturalnego Wybrzeża ze swym stanowiskiem wobec potrzeb kulturalnych polskiego okręgu portowego.

Zdaniem min. Sokorskiego życie teatralne Wybrzeża winno ulec wzbogaceniu. Doceniając poważne osiągnięcia teatru „Wybrzeże" minister zapowiedział stworzenie trzech teatrów z siedzibami w Gdańsku, Sopocie i Gdyni, które mając swoisty charakter teatru klasycznego, kameralnego i komedii muzycznej będą na zmianę występowały w trzech miastach. Powstanie również Państwowy Teatr dla młodzieży, który ma wielką rolę do spełnienia zgodnie z przyjętymi przez Ministerstwo wytycznymi.

Ten trzyramienny zespół teatrów może być w przyszłości uzupełniony przez odpowiedni teatr w Gdańsku, którego przebudowę przewiduje się na rok przyszły; teatr gdański miałby charakter teatru operowego i byłby siedzibą Filharmonii Bałtyckiej, której osiągnięcia znalazły u min. Sokorskiego pełne uznanie.

Potrzeba istnienia na Wybrzeżu pisma kulturalnego jest oczywista. W tym punkcie min. Sokorski zgadza się z poglądami miejscowych literatów i uważa, że pismo to nie powinno być organem elity, lecz pismem dla szerokich rzesz miłośników kultury i winno obejmować swym zainteresowaniem całe wybrzeże od Szczecina po Gdańsk oraz Pomorze.

Zapowiedziane upaństwowienie Filharmonii Bałtyckiej będzie dla tej instytucji końcem ciągłych trudności finansowych i nie dających się załatać deficytów. Praca Filharmonii Bałtyckiej prowadzona jest na Wybrzeżu z wielkimi trudnościami. Brak odpowiednich sal zmusza do koncertowania w sopockiej sali kinowej lub w małej sali teatru gdańskiego. Szczupłe wpływy ze sprzedaży biletów oraz nikłe dotacje zarządów miejskich nie pozwalają na pokrycie wszystkich kosztów administracyjnych, co oczywiście nie wpływa pobudzająco na działalność instytucji. Mimo tych trudności, w ubiegłym roku koncertów Filharmonii wysłuchało 74 tys. osób, a w pierwszych 5 miesiącach roku bieżącego 24 tys. osób. Remont sali Państw. Teatru we Wrzeszczu oraz letnie koncerty w sopockiej operze leśnej pozwolą na wydatne powiększenie liczby słuchaczy, która przypuszczalnie osiągnie 100 tysięcy. Stale rozszerza się współpraca Filharmonii z prowincją; orkiestra przejechała już 3000 km na trasie od Malborka po Szczecin, odwiedzając 12 miejscowości. W roku bieżącym rozpoczęty zostanie cykl koncertów dla ludności wiejskiej oraz zacieśniona zostanie współpraca ze związkami zawodowymi wybrzeża.

PRZEMYSŁ DRZEWNY
właśc. KAZIMIERZ WEGENKE
Bogdaniec — Gorzów (Wlkp.) Tel. Gorzów 78
Poleca:
Skrzynie wszelkich rozmiarów do użytku krajowego i na eksport oraz deski podłogowe

WALENTEGO

deszczowe ledwo tylko mógł łazić, tak go te kości stare łamały i kręciły. A i na piersiach mu też osiadło, że trząsł się i krztusił coraz częściej własnym kaszlem, a w gęstej żółtawej flegmie, wypluwanej na ziemię, znajdywał coraz liczniejsze grudki krwi. Nie było rady, zaczął się stary oglądać za żoną dla syna. Przecież go nie zostawi samego na gospodarstwie. Bez baby, zaambarasowany tylko końmi, nie da sobie ten jego półgłupi Walek na świecie rady.

Trudno szło z tym szukaniem. Nie było bardzo ponętne to przyszłe Walkowe gospodarstwo. Półpiąta hektara lichej ziemi, sadzik maleńki, w nim mocno zgrzybiała chałupa, krowina w chlewie jedna i druga, stara kulawa szkapa i na tym koniec. A jeszcze taki dziad na całe życie, o którym nie wiedzieć, co myśleć. Niby to on taki głupi, jak o nim mawiają, i nie jest. Pracowity, zna się na roli, w ryb łowieniu wprawiony, ponoć nie pijak i za dziewkami nie słychać było, aby się oglądał. Ino to jego pomylenie z końmi. Rozważały więc dziewuchy, jedna i druga, ale jakoś nie skoro im szło z decyzją.

Wreszcie się któraś zdecydowała Prędko poszło to wszystko od swatów aż po ślub. Któregoś ranka wprowadził Walek do domu nową gospodynię. A czas już był najwyższy. Ostatni raz zwlekł się ojciec z łóżka do kościoła. Po weselu zaniemógł, było mu coraz gorzej i zmarł w niespełna niedzielę.

Walenty pozostał gospodarzem. Pochował z żoną starego ojca tak, jak ich tylko stać najlepiej na to było, pomartwił się dni parę, wspomniał tam raz i drugi, a potem zabrali się do roboty. Z babą poszło mu nadspodziewanie składnie i zgodnie. Aż dziw szedł wokoło, jak to im wieść się zaczęło na tej gospodarce. Przybywało i w domu i w oborze, rola i jeziora jakby starały się specjalnie przyrzucić im pieniądza. A oni obydwoje nic, tylko pracowali jeszcze gorliwiej, jeszcze wcześniej wstawali i później spać się kładli.

Minęło tak dobrych lat parę. Wokoło wszystko błyszczało nowością, zamożnością i porządkiem. Jedno tylko, ku zdziwieniu wszystkich, pozostało bez zmiany. Czy do miasteczka na rynek, czy w pole do roboty, wyjeżdżał Walenty zawsze na tej samej szkapie kulawej, która mu po ojcu została. Nie mogli w okolicy zrozumieć, co to z chłopcem się stało. Jakby przepadło gdzieś jego zamiłowanie do koni. Na rynku nawet nie podchodził w stronę, gdzie przytraczano do długiej poręczy konie przeznaczone na sprzedaż. Pogodzili się ludzie wreszcie z tym, że Walentemu wrócił rozum do głowy. Baba mu go tam widać wbiła...

Walenty słyszał nie raz te wydziwiania, ale nic, jeno się z lekka uśmiechał przy tych okazjach do siebie. Kto go tam wie, co mu po głowie chodziło. Małomówny się zrobił tymi czasy bardziej jeszcze, gdy ostatnio tematu „końskiego" poniechał.

Aż raz zawieruszył się kędyś na kilka dni z domu. Kobieta jego pewnikiem wiedziała, dokąd to się wybrał, ale nie mówiła nikomu. Mało kto zresztą pytał. Mieszkali na odludziu, z nikim się specjalnie nie przyjaźnili, uważani byli za skąpych, tak że i nie wtykano specjalnie nosa w ich sprawy. Dopiero gdy wrócił Walenty po tygodniu prawie do domu, gruchnęło sensacją po okolicy. Zbiegali się ludziska i gadali jeden do drugiego, a mowa wciąż szła wokół Walentynowych spraw. Z drogi bowiem przywiódł on z sobą konia...

Cudo jedno to było, nie klacz. Kasztanka z białą, misterną gwiazdką na czole. Zgrabna, smukła, silna widać bestia i płomienista, bo jeno nozdrza jej drżały, a po smukłych, zgrabnych pęcinach dreszcz co chwila przebiegał pod skórą. Przypomniał się ludziom ten czas, gdy mały jeszcze Walek za ukradzioną matce słoninę doglądał pana rotmistrzowego konia. Ale ta kasztanka była jeszcze ładniejsza. Takiego konia to i we dworze nie mieli. Co tylko z nim robić na chłopskiej gospodarce. Wróciło powszechnie zdanie, że jednak Walenty był pomylony.

On tymczasem nic na to gadanie. Pieścił się ze swym cudem, gospodarki pilnował jak dotąd, a dla robót zostawił oną poojcowską szkapę kulawą.

Kasztankę kupił już pokrytą i nie długo doczekał się źrebca. Nie wiedzieli znów ludzie, co bardziej podziwiać — matkę czy syna. Kończyło się to jak i dawniej postukiwaniem palcem w czoło, że jednak Pan Bóg rozumu to Walentemu trochę poskąpił. Trudno było za tym postukiwaniem nie widzieć i zwykłej zazdrości.

Od tego czasu inne życie nastało w chacie nad korwieńskim jeziorem. Walenty jakby odmłodniał. Poweselał, do pracy rwał się ze śpiewką, ba, nawet dla żonki bywało, prezent przynosił z pobliskiego miasteczka. A każdą wolną chwilę czasu spędzał przy koniach. Wystawił nową stajnię, nie na chłopską, ale na pańską modłę pomyślaną tak, jak to jeździł specjalnie oglądać do dworu. Miejsce w niej było co najmniej na sześcioro koni. Kto go tam wie, co sobie chłopisko, planując tę całą budowę, zamyślał.

Z domu wyjeżdżał rzadko, już tylko, gdy go konieczność do tego zmuszała. Zaprzęgał wtedy swoją kasztankę do niepasującego do niej zwykłego chłopskiego wozu i rwał drogami, że aż furczało. Ludzie ustępowali mu tylko na boki, a gdy zajechał do miasteczka, przy pięknym koniu zbierały się całe tłumy.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Jak miliarderzy uzbrajali Hitlera

Wydana w Ameryce książka H. W. Ambrustera „Treason's Peace" wywołała wrażenie eksplodującej bomby.

Autor jej, Howard Watson Ambruster — to nie działacz polityczny, nie dziennikarz, nie ekonomista i w każdym razie nie człowiek lewicowych poglądów. Jest on inżynierem-chemikem, w ciągu 40 lat był wybitnym konsultantem różnych prywatnych firm amerykańskiego przemysłu chemicznego. Współpracując z nimi, napotykał on rażące fakty, dotyczące działalności znanego niemieckiego monopolu chemicznego „I. G. Farbenindustrie" w Stanach Zjednoczonych. Była mowa o niesłychanych, nawet nieprawdopodobnych — z jego punktu widzenia — zjawiskach: aktywność niemieckiego trustu i jego stronników w wyższych sferach amerykańskiej plutokracji groziła poważnymi następstwami dla bezpieczeństwa Ameryki i całego świata. Ambruster postanowił działać.

Rok z rokiem Ambruster czynił wszystko, co do niego należało, aby podać zebrane przez siebie materiały do wiadomości amerykańskiej opinii publicznej i organów rządowych. Zasypywał listami i referatami ministrów, senatorów, sędziów, komisje parlamentarne, redakcje wielkich pism. Niekiedy go wysłuchiwano, lecz na tym się zwykle skończyło.

Wtedy Ambruster zdecydował się na rozpaczliwy w amerykańskich warunkach krok — napisania książki i opublikowania w niej chociażby części zebranych materiałów. Natychmiast po ukazaniu się książka została skonfiskowana na zarządzenie amerykańskich władz rządowych.

Nie sposób wyliczyć choćby w największym skrócie wszystkich istotnych faktów, zebranych przez Ambrustera. Praca jego stanowi raczej informator i katalog dokumentarnych danych na temat historii przenikania monopolistów niemieckich do gospodarki i polityki amerykańskiej, aniżeli dokładne badania analityczne istoty zagadnienia. Lecz właśnie z tego długiego rejestru nagich faktów, „handlowych" umów, finansowych transakcyji i przeróżnych towarzystw akcyjnych — występuje zupełnie wyraźnie obraz tego, co się działo za kulisami stosunków amerykańsko-niemieckich w okresie poprzedzającym drugą wojnę światową.

„KAPITANOWIE" ROZKAZUJĄ „KRÓLOM"

Właściciele frankfurckiego trustu chemicznego „I. G. Farbenindustrie" — Duisburg, Schmitz, Bosch, von Schnitzler, ludzie, przed którymi drżeli władcy weimarskich Niemiec, byli od dawna nierozerwalnie złączeni z przywódcami partii faszystowskiej. Łączył ich ten san cel: Hitler chciał wojny, by zawojować świat dla faszyzmu. Trust I. G. chciał wojny, by zawładnąć światem dla niemieckich fabryk, utworzyć „dyktaturę niemieckiego laboratorium" i zarobić nadto kilka miliardów na dostawach środków dla wyniszczenia całego kontynentu. I jedni i drudzy stawiali w tym celu na kartę wszystko: los narodu niemieckiego, los Europy, los cywilizacji.

W początku lat trzydziestych niemiecki monopol chemiczny przystąpił do realizacji wspólnego planu... Chodziło o przyciągnięcie miliardów amerykańskich i kolosalnych środków technicznych przemysłu USA do bezpośredniego udziału w zbrojeniu Niemiec.

Plan ten był zrealizowany w niesłychanej dotąd formie: drogą utworzenia gigantycznego tajnego związku prawie wszystkich wielkich międzynarodowych monopoli, dla zaopatrzenia Niemiec w złoto i w najważniejsze środki wojenno-techniczne.

Opisując skomplikowany system tajnych umów i porozumień z tego okresu wojny między I. G. a różnymi amerykańskimi koncernami, inżynier-chemik Ambruster sam nie jest w stanie określić, jak wielkie było jego rozgałęzienie i istotne znaczenie. Wymienia jednak 230 amerykańskich firm związanych w różny sposób z monopolem niemieckim.

Podstawę bloku korporacyji stanowiło porozumienie trzech „wielkich mocarstw" świata kapitału: dynastii amerykańskich miliarderów i królów nafty Rockefellerów... królów przemysłu chemicznego Dupontów... i „kapitanów" niemieckiego przemysłu chemicznego z trustu I. G. ...

Ci trzej partnerzy byli bezpośrednio związani umowami finansowymi i technicznymi. Właściwą jednak przewagę we wszystkich sprawach mieli właśnie „kapitanowie" (tak skromnie tytułowali się monopoliści niemieccy w odróżnieniu od „królów" amerykańskich...).

Wokół tej trójcy grupowali się inni wielcy monopoliści nie tylko Ameryki i Niemiec, lecz również Anglii, i in.

Nigdy jeszcze w historii plutokracji światowej nie było tak potężnego bloku...

DULLES AGENTEM NIEMIECKICH MONOPOLISTÓW

Wiadomo, że jedną z metod „osiągnięcia celów politycznych" w systemie amerykańskim jest płatny agent polityczny — adwokat czy nawet działacz społeczny, który większość czasu spędza, węsząc w kuluarach parlamentu, w poczekalniach wielkich polityków i urzędników.

Ambruster wymienia szereg takich „lobby'istów" przytaczając niekiedy również ścisłą sumę otrzymanej przez nich zapłaty. Na pierwszym planie znajdują się dwa słynne amerykańskie kancelarie adwokackie, obsługujące w tej dziedzinie firmy, milionerów i nawet grupy polityczne.

Pierwsza — to koncern prawniczy „Sullivan & Cromwel" ze sławetnym J. F. Dullesem na czele... Dotychczas sądzono, że firma p. Dullesa jest prawnym reprezentantem wielkich monopoli USA. Ambruster dopełnia tę informację.

Okazuje się, iż biuro Dullesa było doradcą prawnym dyrektorów różnych filii I. G. w Ameryce. Są to: Rudolf Lentz, P. Cootroff i E. Galbach — zaufani przedstawiciele trustów niemieckich. Sam Dulles jest doradcą prawnym i dyrektorem międzynarodowego trustu niklowego. Słowo p. Dullesa jest prawem dla znanych kół Nowego Jorku i Waszyngtonu, a niemiecki monopol chemiczny był klientem p. Dullesa.

Głównym rywalem firmy Dullesa jest kancelaria adwokacka w Nowym Jorku, firma „Cravat", Swain & Moore".

W roku 1941 John Mac Cloy, jeden z głównych partnerów firmy „Cravat" był pomocnikiem ministra wojny USA i pozostawał nim do końca 1945 roku. Inni, jak Alfred Mac Cormeeck i Howard Peterson, byli wysokimi urzędnikami tegoż ministerstwa. Czyż przypadkowym jest fakt, że do grupy osób, decydujących w czasie wojny o bombardowaniu niemieckich zakładów wojskowych, należeli ci trzej — do niedawna obrońcy interesów I. G. w Ameryce?

Skonstatowano, że podstawowe zakłady I. G. w Ameryce okazały się po wojnie prawie nienaruszone.

Niemiecki monopol chemiczny miał jednak w USA i innych adwokatów i zastępców. Według Ambrustera, część z nich rekrutowała się z otoczenia H. Hoovera, b. prezydenta USA...

Lecz to jeszcze nie wszystko. Gdy w roku 1941 amerykańskie zakłady „I. G. — General Aniline & film corporation" znalazły się pod nadzorem państwowym, jednym z jego dyrektorów został William Boollit, zdeklarowany reakcjonista, zażarty wróg Zw. Radzieckiego, a więc polityczny stronnik Hoovera.

Oto, dlaczego międzynarodowy blok monopolistów zbrojący wówczas Niemcy drogą zaopatrzenia w środki techniczne i finansowe, nie tylko nie napotkał żadnego sprzeciwu ze strony kół rządzących USA, lecz przeciwnie, otrzymał poparcie. Do bloku tego należeli dwaj ukryci partnerzy: Hitler i amerykańska redakcja.

TAJEMNICE AMERYKAŃSKIE POD NIEMIECKĄ KONTROLĄ

Ambruster daje pełny obraz umów finansowych, układów techniczno-produkcyjnych i patentowych, zawartych w okresie od 1925 r.

Charakterystycznym jest, iż najważniejsze z nich — o wymianie tajemnic technicznych i patentów — zawarto w roku 1929 z ważnością do 1947 roku. Howard ze „Standard Oil" oświadczył wtedy wyraźnie, iż I. G. staje się „naszym głównym partnerem w sprawach chemicznych". Po kilku miesiącach powstaje w USA centrum badań technicznych pod firmą „Jesco" z administracją amerykańską. Inżynierowie, technicy, uczeni — Amerykanie „Standard Oil" daje swych najlepszych specjalistów.

Lecz znaczna część akcyj tow. „Jesco Inc" należy do Niemców; od nich też idą dyrektywy; również do ich rąk idą rezultaty badań i patenty na wynalazki...

Ambruster pisze: „Za pośrednictwem „Standard Oil" oddział wywiadowczy I. G. znalazł dostęp do osiągnięć umysłów technicznych (w USA — przyp. aut.) i mógł przejść przez drzwi, które w innym wypadku byłyby dla niego zamknięte". Autor twierdzi, że niektóre gałęzie przemysłu wojennego USA znajdowały się całkowicie pod kontrolą Niemiec.

Rockenfellerowie nie ustępowali Dupontom. Należy to podkreślić z uwagi na od dawna istniejącą łączność ich z min. wojny USA.

W Europie zagrały działa. Hitler napadł na Polskę. 23 września 1939 r. Niemcy obwieścili, że Polska została rozgromiona. W dwa dni potem w Hadze podpisana została nowa umowa pomiędzy amerykańskim trustem chemicznym a I. G. Znamienne, iż data podpisania tej umowy została — na papierze — nieco przesunięta i wykazana jako 1 września. Niemcy uwzględnili widocznie znaną wstydliwość swych amerykańskich partnerów...

Zgodnie z umową związek amerykańskich i niemieckich monopoli faktycznie pozostawał w mocy.

Padła zdradzona przez monachijczyków Francja. Hitler wkroczył do Paryża. „Standard Oil" utrzymywał nadal kontakt z I. G. przez swego przedstawiciela w okupowanym Paryżu. Wkrótce odbyła się w Szwajcarii narada obydwu monopoli. „Standard Oil" próbował sprzedać Niemcom źródła naftowe na Węgrzech, przeszkodził temu jednak Henry Wallace, ówczesny wiceprezydent USA. Dnia 8 sierpnia 1940 r. dyrektorzy I. G. pisali do Hitlera, że otrzymywane przez nich z USA „bogate informacje są niezastąpione zwłaszcza w dziale ulepszeń technicznych...".

Amerykańscy przyjaciele I. G. działają do dziś dnia, w tym samym kierunku. Tyle, że już nie jako polityczni adwokaci, czy kuluarowi geszefciarze, lecz — oficerowie i urzędnicy amerykańskiej administracji wojskowej w Niemczech zachodnich.

Na czele misji gospodarczej USA, skierowanej po wojnie do Niemec dla zbadania spraw finansowania niemieckiego przemysłu w celu ożywienia handlu zagranicznego, stał George Allan i Howard Peterson. Pierwszy był dyrektorem jednej z filii I. G. w USA, drugi — doradcą z biura „Cravat" przy I. G. w USA.

Ambruster — to nie polityk. Niemniej w zakończeniu swej książki nie może on nie zauważyć choć mimochodem, że obecny sabotaż likwidacji wojennego potencjału I. G. w Niemczech pochodzi „z tych samych źródeł w rządzie waszyngtońskim, które spychają naszą politykę zagraniczną i kurs na terenie Narodów Zjednoczonych z drogi możliwego porozumienia z Rosją".

Ci sami ludzie, te same siły, ta sama polityka. Uzbrajali oni imperializm niemiecki w latach trzydziestych. Chcą odbudować i znów uzbroić imperializm niemiecki w latach czterdziestych. Dziś, jak i wtedy, głównym ich celem jest wykorzystanie tego imperializmu i sił światowej reakcji przeciwko demokracji postępowej, przeciwko wolności narodów i w pierwszym rzędzie — przeciwko wielkiemu mocarstwu socjalistycznemu. Stawkę swoją w drugiej wojnie światowej przegrali. Dziś stawiają na **trzecią wojnę światową!**

Latarnia morska w Kołobrzegu

U naszych przyjaciół

ŻYCIE UKRAINY

w świetle cyfr i faktów

Ukraińskie Wydawnictwo Literatury Politycznej wydało tom 4 Dzieł J. STALINA w języku ukraińskim. Nakład wydawnictwa tego wynosi 100 tysięcy egzemplarzy.

*

Sfery miłośników muzyki obchodziły stulecie Filharmonii Odeskiej, jednej z najstarszych w Związku Radzieckim. Do liczby wychowanków Filharmonii Odeskiej należą tak wybitni muzycy radzieccy, jak laureaci premii stalinowskiej — Dawid Ojstrach i Emil Gilels, laureaci konkursów międzynarodowych Jakub Żak, Elżbieta Gilels, Tatiana Goldfarb i inni.

Filharmonia Odeska jest poważnym ogniskiem kultury muzycznej południowej Ukrainy.

*

Na Ukrainie istnieje 818 domów dziecka, w których wychowywane są dzieci pozbawione rodziców. Budżet Ukraińskiej SRR przewiduje na rok bieżący sumę przeszło miliarda rubli na utrzymanie tych domów. Wychowankowie domów dziecinnych są otoczeni życzliwą troską całego narodu ukraińskiego. Kołchoźnicy rejonu Bazarskiego w obwodzie Żytomierskim wzięli na wychowanie 192 sierot po poległych żołnierzach.

*

Ministerstwo Zdrowia ZSRR kieruje w roku bieżącym z górą 500 lekarzy do stałej pracy w przedsiębiorstwach Zagłębia Doneckiego, gdzie trwa obecnie budowa względnie odbudowa 29 szpitali, 11 poliklinik, 33 ambulatoriów, 7 domów porodowych itd.

W porównaniu z rokiem ubiegłym, w roku 1948 znacznie wzrosły wydatki na cele podniesienia stanu zdrowotnego górników. Około 16 tysięcy górników obwodu Woroszyłowskiego wyjeżdża w tym roku do sanatoriów Krymu, Kaukazu i innych uzdrowisk radzieckich.

W zakładach przemysłowych Ukrainy rozwija się nadal szeroka inicjatywa pracowników przemysłu zmierzająca do racjonalizacji produkcji. W ciągu ostatnich tylko 4 miesięcy robotnicy i inżynierowie Zakładów Gorłowskich wysunęli 395 wniosków racjonalizacyjnych. Na przykład, zmiana metod przy obróbce ogniw łańcucha tnącego zaproponowana przez inżyniera Nudelmana daje 218 tysięcy rocznej oszczędności. Nowa technologia odlewnictwa części ze stali nierdzewnej opracowana przez inżyniera Lisieckiego pozwoli na zaoszczędzenie 125 tysięcy rubli rocznie itd.

W ciągu jednego roku wnioski racjonalizatorskie robotników i pracowników umysłowych i technicznych Zakładów Gorłowskich winny dać ogółem przeszło 5 milionów rubli oszczędności.

*

W ciągu czterech lat po uwolnieniu Odesy od okupacji, w mieście i obwodzie Odeskim odbudowano przeszło 400 przedsiębiorstw przemysłu państwowego. W Odesie ponownie funkcjonuje 17 wyższych zakładów naukowych, 80 instytucyj naukowo-badawczych, przeszło 80 szkół itd.

*

Niedawno odbyła się sesja Instytutu Historii Ukrainy przy Akademii Nauk Ukraińskiej SRR, poświęcona trzechsetnej rocznicy od wybuchu wojny wyzwoleńczej narodu ukraińskiego w latach 1648—1654 r.

Z referatem pt. „O wojnie wyzwoleńczej narodu ukraińskiego 1648 r. do 1654 r. i jej znaczeniu w historii Ukrainy" wystąpił dyrektor Instytutu A. Kasimenko. Członek — korespondent Akademii Nauk USRR — N. Pietrowski wygłosił odczyt na temat „O roli Kijowa w wojnie wyzwoleńczej 1648 r. — 1654 r.".

Monografia o Lubeckim

W ramach Biblioteki Wiedzy o Polsce pod wytrawną redakcją prof. U. P. Zygmunta Wojciechowskiego ukazał się nowy tom w postaci pracy prof. dr. Jana Zdzitowieckiego pt.: „Książę — Minister Fr. Ksawery Drucki-Lubecki 1778—1846". Praca ta ukazała się w Wydawnictwie G. Arcta w Warszawie. *)

Autor, Jan Zdzitowiecki, jest profesorem nauki skarbowości i prawa skarbowego na Uniwersytecie Poznańskim. W ostatnim słowie załączonym do omawianej książki prof. Zdzitowiecki zaznacza, że nie jest historykiem i że celem tej książki było uwzględnienie historii tylko o tyle, o ile ona wyjaśnia poglądy i postępowanie Lubeckiego. Równocześnie prof. Zdzitowiecki wyjaśnia, że znaczną część książki napisał w latach 1941—42, oraz, że książka ta nie opiera się na materiałych archiwalnych, jeno na monografiach. Należy zaraz dodać, że ta okoliczność bynajmniej nie zmniejsza wartości pracy prof. Zdzitowieckiego, gdyż celem tej pracy jest pokazanie sylwetki Lubeckiego, sylwetki jednego z najbardziej interesujących naszych ekonomistów i skarbowców.

To zadanie spełnia autor wzorowo. Czytelnik spragniony pełnego materiału syntetyzującego działalność Lubeckiego, czyta książkę prof. Zdzitowieckiego z uczuciem pełnego zaspokojenia swej ciekawości. Fachowiec-historyk, ekonomista czy skarbowiec — napotka w książce prof. Zdzitowieckiego na liczne zagadnienia, które dotąd uszły uwadze polskich publikacji naukowych. Niektóre części książki tchną pociągającą świeżością tych zagadnień, znanych — być może — nielicznej garstce wybitnych fachowców, lecz niedostępnych dla tych, których postać Lubeckiego w szczególny sposób interesuje. Te właśnie zainteresowania zaspokaja książka prof. Zdzitowieckiego, przedstawiająca całokształt jego działalności skarbowej i ekonomicznej, a także i politycznej.

Ze szczególnym zainteresowaniem śledzi czytelnik w polityce skarbowej i ekonomicznej Lubeckiego te elementy myślenia społecznego, które czynią z postaci Lubeckiego działacza aktualnego i w chwili obecnej. Prof. Zdzitowiecki z dużą wnikliwością podkreśla te elementy społeczne w działalności Lubeckiego, oddając w ten sposób czytelnikowi do rozważań materiał istotnie godny wydania w ramach Biblioteki Wiedzy o Polsce.

(ak)

*) Jan Zdzitowiecki: „Książę — Minister Franciszek Xawery Drucki-Lubecki 1778—1846". Wydawnictwo S. Arcta, Warszawa 1948. Str. 653. Biblioteka Wiedzy o Polsce pod redakcją Zygmunta Wojciechowskiego. Tom V.

W 1949 r. Żuławy będą całkowicie zużytkowane

Gdańsk. W roku obecnym, PNZ otoczyły specjalnie troskliwą opieką kwestię zagospodarowania Żuław. W tym celu zorganizowano na wiosnę poważną koncentrację robotników rolnych, siły pociągowej i różnych środków produkcji. Niestety, cały teren Żuław nie będzie jeszcze w roku bieżącym całkowicie zagospodarowany, a to z powodu wolno dotychczas postępujących prac nad osuszaniem tego terenu. Mimo to, praca którą dotychczas wykonano, stanowi b. poważny wkład do pełnego uaktywnienia tych najurodzajniejszych polskich gleb. Tempo prac jest naprawdę wielkie i widać znaczny postęp w porównaniu z rokiem ubiegłym. A praca na tych terenach jest b. ciężka i trudna. Paroletni wylew wody, spowodował szybki rozrost wszelkiego rodzaju trzcin i łozy tak że w chwili przystąpienia do zagospodarowywania, niżej położone części Żuław porośnięte były całkowicie tą roślinnością. Trzcinę i łozę niszczą specjalnie pługi talerzowe, które bez konieczności uprzedniego karczowania terenu i mimo wielkich przeszkód mechanicznych orzą i zamieniają gąszcz wodnej roślinności na uprawną rolę.

Prace nad całkowitym osuszeniem tych terenów nabrały w ostatnim czasie szybszego tempa, tak, iż pozwala to przypuszczać, że już w ciągu 1949 roku cały obszar Żuław będzie rolniczo zagospodarowany i całkowicie użytkowany.

JAN GAWRYŁA

Dorobek literacki Ziem Odzyskanych

(Dokończenie z nr 28)

Lada dzień oczekiwać należy ukazania się z druku drugiej książki tego typu, mianowicie zbioru reportaży **Kazimierza Koźniewskiego pt. „Żywioły“**. Większość z nich znamy także z prac drukowanych w „Przekroju“ i innych pismach. Koźniewski nie ogranicza się do jednego województwa, jak Sulima, ale obejmuje całość Ziem Odzyskanych. O ile z jednej strony podnosi to wartość książki dając szerszą perspektywę widzenia problematyki zachodniej, o tyle z drugiej sprawia, że reportaże Koźniewskiego są mniej gruntowne, mniej obfite w zasobie konkretnych wiadomości. Pod innym za to względem „Żywioły“ przewyższają pracę Sulimy. Lepsze są w swej formie literackiej. Poza tym też więcej w nich dynamizmu, gwałtownego temperamentu, cechujących Koźniewskiego.

Słabszą literacko, ale mimo pewnych dłużyzn ciekawą, jest praca reportażowa **Leona Sobocińskiego pt. „Na gruzach Smetka“**, poruszająca zagadnienia Warmii i Mazur. Pozycja ta nie wytrzymuje jednak w żadnym stopniu konkurencji z Sulimą.

Mówiąc o reportażach, wyraziłbym zdanie, że podobnie jak Sulimy i Koźniewskiego, pożyteczne byłoby również wydanie książkowe reportaży z Ziem Zachodnich Franciszka Gila oraz Wojciecha Żukrowskiego, stojących na wysokim poziomie i problemowym i literackim.

Z pogranicza publicystyki wchodzimy z kolei w literaturę. Zaczniemy od powieści. Tu należałoby zwrócić uwagę przede wszystkim na znamienny objaw zainteresowania pisarzy polskich tematyką lat powstawania naszej państwowości, o wyraźnym ówczas akcencie zachodnim.

Ukazały się dotąd trzy prace z tego zakresu, wszystkie wielotomowe — też specyficzne zjawisko. Pierwsza pojawiła się trylogia **Karola Bunscha pt. „Dzikowy skarb“**. Powieść, sięgając w prapoczątki naszych dziejów historycznych barwnie maluje ówczesną epokę, konflikty ludzkie i osobiste, dążenia polityczne a jednocześnie stara się możliwie dokładnie oddać ducha tamtych czasów. Jednak, mimo to, powieść Bunscha chwilami nuży. Przypisać to należy pewnej rozciągłości, zbytniemu rozszerzaniu ram tematu. Ujęcie bardziej skondensowane dodałoby książce walorów.

Wydarzeniem literackim było ukazanie się wielkiej trzytomowej **„Sagi o Jarlu Broniszu“ Władysława Jana Grabskiego,** nagrodzonej w roku 1947 wielką nagrodą literacką „Odry“ (wespół ze „Sprawami Polaków“ — Edmunda Osmańczyka). Utwór Grabskiego, omawiany szeroko i gruntownie w prasie literackiej, obok frapującego tematu posiada wszelkie walory pióra znakomitego pisarza. Od książki Bunscha opisującej tę samą epokę różni się swoją jakością, głębszym podjęciem tematu, przejrzystością i naświetleniem akcji. Grabski oparł się w swej pracy na gruntownych studiach historycznych. Jak sam powiadał przy jakiejś okazji, biblioteka jego w trakcie pisania „Sagi“ wzrosła o kilkaset pozycyj, związanych z epoką pierwszych Piastów.

O ile utwór Grabskiego był wydarzeniem, to ukazanie się pierwszych dwóch części wielotomowej powieści **Antoniego Gołubiewa pt. „Bolesław Chrobry“**, zaliczyć już można do sensacyj literackich. Dla porównania i uwypuklenia dzieła na tle innych trzeba jednak będzie choć najpobieżniej określić jego główne walory. Gołubiew potrafił tak doskonale wżyć się w nastrój epoki, tak prawdziwie odmalował to literacko, że czytelnik doznaje złudzenia, jakoby był przeniesiony w czasy Chrobrego i św. Wojciecha. Takie zatarcie różnicy czasowej w doznaniach czytelnika jest olbrzymim sukcesem autora. Gołubiew wypracował własny, oryginalny, jedyny w swoim rodzaju styl. Jest on brutalny, ostry, dziki, a przy tym świeży, niezepsuty, pełen tej samej pierwotności jak i czasy przezeń opisywane.

„Bolesław Chrobry“ był debiutem literackim Gołubiewa. Debiutem tej jednak wartości, że wyniósł go od razu na czołowe stanowisko w literaturze polskiej.

Do tego typu powieści, z tej samej epoki dziejowej, zaliczyć można nie wydaną dotąd, ale wkrótce mającą ukazać się z druku powieść w dwu tomach Janiny Zabierzewskiej pt. „Odra“. Trudno mówić dziś jeszcze o jej wartości.

Poza tymi pozycjami powieściowymi ukazały się jeszcze inne książki, będące zbiorami opowiadań, felietonów czy szkiców literackich, sięgających do różnych okresów naszej historii a tematycznie związanych z Nadodrzem. Utwory te reprezentują różne wartości literackie.

Do najciekawszych z tej grupy książek zaliczyć by należało zbiór **„Legend pomorskich“ Tymoteusza Karpowicza,** pisarza i poety, na stałe [illegible] „Legendy Pomorskie“ zbliżające się często do granic prozy poetyckiej, są ciekawym i dobrym literacko materiałem dla poznania legendarnej przeszłości Pomorza Zachodniego. Zaliczyć je należy do jednych z wartościowszych pozycji literackich po wojnie.

Ciekawsze w tematyce, zresztą innego typu, ale słabsze pod względem formalnym są felietony — jak je autor nazywa, „odpryski historii“ — **Waleriana Lachnitta pt. „Pod znakiem Gryfa“**, dające nam obszerny zarys wiadomości o polskości historycznej Pomorza Zachodniego.

Miłe, acz nie przedstawiające sobą nic wybitnego literacko, są **„Baśnie Kaszubskie“ Zuzanny Rabskiej.**

Głębszą wartość natomiast przedstawiają **„Legendy i baśnie śląskie“** autora znanej pracy „Na Śląsku Opolskim“ — **Stanisława Wasylewskiego.**

Specjalną, odrębną pozycję zajmą w naszej literaturze znakomite felietony **Tadeusza Mikulskiego,** zebrane w cyklu pt. **„Spotkania wrocławskie“**, częściowo drukowane uprzednio w różnych czasopismach literackich. Oparte o stare kroniki, pamiętniki itp. są to opowieści o pobycie sławnych Polaków we Wrocławiu. Autor, profesor polonistyki na Uniwersytecie Wrocławskim, doskonale zna temat, umie zeń wydobyć maksimum piękna, umie zaciekawić czytelnika. Forma literacka doskonała czyni ze „Spotkań Wrocławskich“ jedną z najmilszych lektur dla ludzi interesujących się polską przeszłością kulturalną Ziem Odzyskanych.

O ile historia Nadodrza znalazła już wiele celnych piór, o tyle powieść współczesna mało jak dotąd interesuje się problematyką Ziem Zachodnich. Dotąd (przez trzy lata) ukazała się jedna tylko powieść o Ziemiach Odzyskanych, opisująca pierwsze lata powojenne na Warmii i Mazurach. Jest to **Eugeniusza Paukszty „Trud Ziemi Nowej“**. Recenzowana była ona szeroko. Warto by tylko było tu jeszcze zwrócić uwagę na społeczne walory tej książki. Miarodajną będzie niewątpliwie ocena Wilhelma Szewczyka, redaktora „Odry“. Tak pisze on między innymi: „Paukszta towarzyszy repatriantom spod Oszmiany na nowej drodze życia. Już w samym tytule kryje się jednak usprawiedliwienie za błędy i klęski, które ci ludzie przeżyć mają na nowej ziemi. Książka jest odważna, w sposób zupełnie nie papierowy odtwarza konflikty pomiędzy ludnością miejscową a napływową. Sympatie autora są po obu stronach a choć opisuje zdarzenia, dziejące się na naszych oczach i sprawy obu odłamów ludności na Pomorzu Mazowieckim wciąż jeszcze znajdujące się w stanie wrzenia, umie patrzeć z epickiego oddalenia, oddzielać prawdę od nieprawdy. Ludzie związani pochodzeniem z tą nową dla innych ziemią cenić muszą w Paukszcie przede wszystkim ów brak jakichkolwiek uprzedzeń, pełny obiektywizm, życzliwość i odwagę i wynikający z tego wszystkiego ogromnie ważny społeczno - wychowawczy sens książki“...

Zapowiadane są dalsze powieści współczesne o Ziemiach Odzyskanych. Wysoko cenić należy ogłaszane w „Odrze“ fragmenty powieści Henryka Worcella pt. „Odwet“. Powieść dla młodzieży pt. „Dzieci i bagaże“ przygotowuje do druku Zbyszko Bednorz. Wkrótce pewnie ukończy swą pracę Jan Brzoza. Książka jego pt. „Ziemia“ na podstawie ogłoszonych fragmentów już pół roku temu odznaczona została nagrodą literacką miasta Katowic. Niestety, nie słychać jeszcze o jej wyjściu z druku. Poza tym powieść współczesna o Ziemiach Zachodnich pisze jeszcze Władysław Jan Grabski oraz Jerzy Pytlakowski. Czekamy na te zapowiedziane utwory.

W dziedzinie dramatu również tylko niewiele pozycyj mamy do zanotowania. Z fragmentów, zresztą doskonałych znany jest dramat **Wilhelma Szewczyka pt. „Biskup Nanker“,** którego treścią są dzieje tej słynnej postaci. Sztuka Szewczyka jesienią ma być jakoby wystawiona na scenie bydgoskiej.

Najwięcej w dziedzinie dramatu przysłużył się Ziemiom Odzyskanym **Kazimierz Gołba.** Wystawiane były jego dramaty z tej tematyki: **„Dziki Książę“, „Nad Odrą wstaje zorza“, „Lompa“.** Ostatnio otrzymał Kazimierz Gołba nagrodę literacką Ziemi Nyskiej za nowy dramat pt. **„Nysa mści się“**, w wys. 100 tys. złotych. Utwory tego dramaturga, dobre literacko, zapoznają z wielu istotnymi momentami naszej przeszłości. Dramat „Lompa“ wydany został także w wydaniu książkowym.

Sztukę o tematyce współczesnej Nadodrza napisał **Kazimierz Barnaś.**

Najsłabiej jak dotąd w literaturze Ziem Odzyskanych reprezentowana jest poezja. Ukazały się tylko dwa tomiki o tej tematyce. Są to: **Jana Sztaudyngera — „Strofy wrocławskie“** oraz **Leszka Golińskiego i Franciszka Fenikowskiego — „Odra szumi po polsku“.** Natomiast wiele wierszy poświęconych Nadodrzu, pióra różnych autorów, spotyka się rozrzucone po czasopismach.

Tak w głównym zarysie przedstawiałby się dotychczasowy dorobek literacki Ziem Odzyskanych.

* * *

Dorobek to wartościowy. Jakie stąd można wyciągnąć wnioski na przyszłość?

Wydaje się, że pierwsze trudności zostały przełamane. Start literacki po tematykę Nadodrza został rozpoczęty chlubnie. Należy wszelki wysiłek włożyć w to, że na trasie tego literackiego biegu pojawiły się wciąż nowe nazwiska, żeby ukazywały się rzeczy jeszcze wartościowsze.

Państwo, w myśl zapowiedzi prezydenta Bieruta i premiera Cyrankiewicza rozpoczyna wielką ofensywę kulturalną na Ziemie Odzyskane. To samo powinni czym prędzej i masowo uczynić literaci. Społeczeństwo zaś jest gotowe. Czeka na literaturę o Ziemiach Zachodnich.

Początki były trudne. Ale jest przysłowie, że co się trudno zaczyna, to się dobrze kończy.

Tym akcentem optymizmu wypada nam zakończyć też rozważania na temat wkładu literatury w repolonizację i odbudowę Ziem Odzyskanych!

A. W. WALCZAK

Zygzakiem po Szklarskiej

Można się słusznie obawiać, czy jedniodniowe wypady na Ziemie Odzyskane nie są przyczyną sądów czasem zbyt powierzchownych. Bo łatwo zdarzyć się może, że sprawozdawca wydający opinię na podstawie przypadkowego pobytu w Nysie na przykład nie jest podobny do owego poczciwca, który znalazłszy się przypadkiem w granicznym Sarreguenines taką wydał opinię o Francuzach:

„— Każdy Francuz jąka się i jest rudy!

„— ??? ... — Dziwią się wdzięczni słuchacze.

„— Tak jest! Zaraz Sarreguenines kelner, który usługiwał mi do stołu był piegowaty, miał rudy kolor włosów i okropnie się jąkał.

Lękam się, czy opinia o Szklarskiej Porębie wydana na podstawie jednodniowego pobytu nie będzie równie trafna, jak charakterystyka owego globtrotera z Sarraguenines. Niektóre fakty jednak, jak to że do Szkarskiej Poręby jedzie się zygzakiem — dadzą się ustalić z wszelką pewnością.

*

Zygzak zaczyna się w Jeleniej Górze na dworcu głównym, skąd jakiś rudy dorożkarz wiezie mnie pijanym szlakiem za 700 zł na dworzec zachodni. Wniosek? Nie, proszę państwa! Brunet, który przywiózł moich bogatych przyjaciół z powrotem na dworzec główny, jechał prosto i wziął tylko 500 zł za kurs, ja zaś, spłókawszy się uprzednio, wróciłem za 20 zł autobusem.

*

Pociąg do Szklarskiej zajeżdża pusty o godzinę wcześniej na peron. Jazda zygzakiem znacznie opóźnia jednak przybycie na dworzec. Żeby zapewnić więc sobie i miejsce w przedziale i reprezentacyjny dojazd do Średniej, wykupuję bilet klasy II. I to mnie naraziło na straszliwą wewnętrzną rozterkę.

W pustym przedziale klasy II siedzi jakiś zmęczony kolejarz. Mam uprzedzenie do wszystkich (znów ta przesada!) kolejarzy od czasu, gdy jako repatrianta przywitali mnie na dworcu zapytaniem: „Po co żeś pan tu przyjeżdżał?“ „Na wczasy do Poręby!“ — powinien był odpowiedzieć, ale wówczas nie znałem jeszcze Karkonoszy i jak niemowa spojrzałem tylko wstydliwie za siebie. Ale żal za to do kolejarzy pozostał, nie tak duży wszakże, żeby w przedziale nie znieść obecności granatowego munduru. Podróż skończyłem jednak w klasie III, mimo że tak bardzo doceniam moment wychodzenia do bliźnich oczekujących na peronie ostentacyjnie z przedziału klasy II. Przynosi to im zarówno, jak i przybywającemu chlubny zaszczyt, z którego jednak po gwałtownej walce z sobą jako posiadacz pełnego biletu II musiałem niestety zrezygnować. Bo „miękkie“ siedzenia w pociągu do Poręby są skandalicznie brudne i mogą odstraszyć nawet najmniej wrażliwego na czystość pasażera. Wniosek? Owszem! Wszystkie koszlawe, łaciate, osmarowane, lepkie i nieprzyjemnie „miękkie“ kanapy należy zamienić na drewniane, lecz higieniczne, zwykłe ławki.

*

Właściwie czemu ludzie z „Osiedla Dziennikarskiego“ w Średniej dobijają się tak chciwie o wątpliwy zaszczyt mieszkania w „domu Hauptmanna?“ Przede wszystkim ani „Wersalik“ ani „Dworek“ nie widziały prawdopodobnie nigdy sędziwego laureata nagrody Nobla, który nie opuszczał swego „Wiesensteinu“ w Jagniątkowie, gdzie — od razu to dodajemy — przyjmował w czasie wojny niejako H. Francka z urdeutsche Stadt Krakau.

Właśnie minęła druga rocznica śmierci G. Hauptmanna i prasa niemiecka pełna jest wspomnień o „sławnym Ślązaku“, „starcu z gór“, „Ruebezahl'u“ „czarodzieju z Agnettendorfu“, który w roku 1945 próbował wprawdzie ucieczki na zachód, ale spłoszony z alianckim nalotem na Drezno powrócił z powrotem, jak zraniony lew, do swej górskiej siedziby...

„Agnettendorf“ w ciągu jednej nocy zmienił się w Agnewitz (nieścisłe: powinno być Jagniątków, tł.). Poeta sam oczekiwał każdego dnia wysiedlenia. „Żywego mnie stąd nie wydostaniecie!“ — powtarzał raz po raz w tych dniach... Ostatni szczegół pochodzi z szwajcarskiej „Weltwoche“ (nr 758), która już przed rokiem tak skwapliwie zabiegała o to, by w najgorszych kolorach i przy pomocy kłamliwych świadectw Hpt. Rotha przedstawić „tragiczną“ śmierć 84-letniego starca.

Polskie Ministerstwo Kultury zapewniło Hauptmannowi wbrew kłamliwej akcji „Weltwoche“ spokojny, dozgonny pobyt w jego siedzibie, mimo że do dziś jeszcze niektórzy niemieccy pisarze emigracyjni nie umieją zapomnieć Hauptmannowi, iż po roku 1933 pozostał w Rzeszy i tak miękki się okazał wobec reżimu. Dziwne tylko, że tyle hardości umiał wykazać Hauptmann wobec władz polskich: „Żywego mnie stąd nie wydostaniecie!“ A nie mówimy już o wspomnianej wizycie gubernatora Francka z Krakowa.

O „zaszczyt“ mieszkania w tym samym domu nie ma więc co się ubiegać, warto jest tylko powiedzieć, że Hauptmann mieszkał w Jagniątkowie, ale pochowany jest słusznie tam, gdzie sobie dużo wcześniej życzył — na wyspie Haiddensee. dawnej III Rzeszy.

*

Przeglądam rocznik 1939 „Gubener Zeitung“ z Gubina. Gazety do września pełne są wiadomości o polskich prowokacjach granicznych. Ale wśród artykułów znajduje się też opis „miasta między górami“ — Jeleniej Góry. Dziwnie nieostrożny był jednak autor reportażu, gdy przyznawał wobec opinii niemieckiej, że Karkonosze zamieszkałe były przez ludność słowiańską, aż dopiero w ramach „powtórnej akcji osiedleńczej“ przybyli tu rolnicy aż z dalekiej Frankonii., A dzisiaj zza Bugu, tyle że na swoje!

*

Nie wszyscy jednak mieli tak daleko. Literaci z Katowic otrzymali tu swój dom i zawiesili na nim słusznie biało-czerwoną chorągiewkę. Musiało to być już bardzo dawno, bo biały kolor poszarzał, a czerwień zbielała. I tak jest wszędzie. W Szklarskiej — Średniej prawie z wszystkich domków zwisają smutno w dni powszednie i święta, na słońcu i słocie — poszarzałe chorągiewki... A na Ziemiach Odzyskanych dawno już znikła potrzeba rozróżnienia domów polskich.

*

Czasem o zaletach i wadach społeczeństwa świadczą nieważne z pozoru drobiazgi. Serce wycięte na ławce przy grobie Karkonosza jest wprawdzie dowodem dużej głębokości uczuć, nie świadczy jednak o równie głębokim rozumie. Żeby przekonać się o tym, najlepiej jest usiąść... na sercu.

W Porębie Górnej można kupić wszystko, tylko że nie wiadomo dobrze o jakim czasie. Bo o godzinie 16 Centrala Rybna jest zamknięta. Właściciel sklepu kolonialnego „zaraz powróci“, a przyjmujący od godz. 15—17 lekarz właśnie o godz 16 wyszedł szukać ewentualnych pacjentów na „zakręt śmierci“. Uczucia moje skaczą zygzakiem — od zachwytów nad perlistą Szklarką — do rozczarowań przy zamkniętych sklepach. I dopiero w drodze powrotnej, gdy w serpentynach zaczynają się chować i pokazywać zalotnie błyszczące w zachodzącym słońcu grzbiety Karkonoszy, zygzak uczuć prostuje się wznoszącą się ku górze czystą linię zachwytu...

Może w załamaniach i cieniach jednodniowego pobytu nad Szklarką było tyle prawdy, ile pomyłek w powiedzeniu, że społeczeństwo francuskie składa się z samych jąkałów i rudzielców?

Zwiedzajcie Wystawę Ziem Odzyskanych

WACŁAW HANTUSZ

Świdnica — kolebka polskich rękawiczek

Świdnica ma to szczęście czy nieszczęście — jak kto woli — że omijają ją wielkie linie kolejowe. Ani pociągi na trasie Wrocław—Praga, ani kuriery z centralnej Polski śpieszące przez Wrocław do Jeleniej Góry nie wybrały sobie tego uroczego miasta jako punktu postoju i odsapnięcia. Nie znaczy to, że w ogóle pociągiem nie można dostać się do tej miłej siedziby śląskich Piastów. Można, można! Z Wrocławia np. bezpośrednio zajedziecie do Świdnicy przez Sobótkę, gdzie w czasach ciemnego pogaństwa paliły się jasno ognie ku czci bóstw słowiańskich, a pośredni zajedziecie tam przez Jaworzynę Śląską.

A szkoda, że Świdnica tak jakoś leży na uboczu. Ma to swoje złe strony: np. dworzec Świdnica Główna robi wrażenie trochę zaspanego, nie ma tam wszystkich arkuszów urzędowego rozkładu jazdy, co utrudnia podróżującemu zorientowanie się w możliwościach wydostania się znów ze Świdnicy. W zasadzie: szkoda, że Świdnica tak odcięta od świata. Bo ma się czym szczycić. Nie będę opisywał wszystkich wartości tego miasta, ale po troszę jednak trącę o nie, by w końcu dobrnąć poprzez zabytki historyczne do celu swego reportażu — do największej i najlepszej w Polsce garbarni białoskórniczej, związanej z pierwszorzędną fabryką rękawiczek.

Otóż najpierw po krótce kilka „rzucających się w oczy" rzeczy: Świdnica ma przepiękny kościół parafialny z najwyższą na Śląsku wieżą (103 m), Świdnica ma malowniczy rynek z ciekawym ratuszem, Świdnica ma zabytkową świątnicę kościoła ewangelickiego z XVII wieku, ma dużo zieleni i wody, prawie żadnych zdemolowanych domów — i ma świetne lody marki „Kasia". A co jest niejako dumą pracującej Świdnicy? Przemysł różnoraki, a zwłaszcza skórzany. Że ta duma ma podstawy realne, że rzeczywiście skóra garbowana w Świdnicy i że rękawiczki tam skrojone i wykończone są pierwszej jakości, miałem możność przekonać się na własne oczy. Prawdę powiedziawszy, życzyłem sobie mocno mieć możliwość przekonania się o wartości rękawiczek na **własnej skórze**, na własnej bęce, ale niewypowiedziane życzenie nie spełniło się, nie dostałem — choćby dla reklamy — ani jednej pary tych cacek — rękawiczek. Ale wierzę i tak, że wygląd skóry świdnickiej odpowiada ich wartości, bo pracują tam fachowcy. Przedstawię więc kilku z nich, którzy przyczyniają się, że towar ten cieszy się wielkim uznaniem nie tylko w kraju, lecz że i zagranica cmoka ustami na sam widok tego produktu polskich rąk.

Pierwszym, z którym zetknąłem się niejako pół oficjalnie na terenie fabryki, był nie kto inny, jak portier — p. M. Banowicz, grzeczny, uprzejmy jak tramwajarze poznańscy podczas trwania Międzynarodowych Targów Poznańskich. Lepiej nie sposób wyrazić się o kurtuazji tego świdnickiego portiera. Żałował tylko p. Banowicz, że nie posiadam aparatu fotograficznego; i ja żałowałem też.

Między budką portiera a głównymi gmachami fabryki — było słoneczne południe — oddano mnie pod opiekę fachowców od garbowania i rękawicznictwa z poleceniem, by pokazali mi to wszystko, co warte obejrzenia. Ponieważ właśnie była przerwa obiadowa, pracownicy po sutym obiedzie spacerowali sobie w ładnym ogródku — parku; fabryka odpoczywała, nie ruszyliśmy więc zaraz na połów nowych wrażeń, lecz odczekaliśmy, aż znów zacznie się ruch. W międzyczasie dowiedziałem się, że nie ma dyrektora naczelnego p. Józefa Kasińskiego, który chory, leczy się gdzieś podczas urlopu. A szkoda, bo utalentowany ten organizator i ruchliwy działacz społeczny dużo mógłby mi zapewne powiedzieć, jak to trzeba się zabierać do roboty, by wszystko tak dobrze się kręciło, jak te 5 fabryk, którymi on zawiaduje (3 garbarnie: w Świdnicy, Chojnowie i Prochowicach i 2 fabryki rękawiczek: w Świdnicy i w Głuchołazach). Te pięć fabryk należy do Centralnego Zarządu Przemysłu Skórzanego w Łodzi, gdzie interesów „białoskórników" strzeże znany już przed wojną fachowiec od białych skór inż. Epsztajn. Podczas nieobecności naczelnego dyryguje fabryką w Świdnicy mgr Perkowski Stanisław, który jest równocześnie kierownikiem technicznym wyżej wymienionych 5 fabryk. Jeśli dyrektor naczelny jest specem od ogólnej organizacji przemysłowej, to mgr Perkowski jest specem od garbowania. A garbowanie to sztuka nie byle jaka! Nie wystarcza posiadać wiedzę, trzeba mieć i dobry nos, zresztą jeśli ktoś nie wie, po co się skórę garbuje, to niech słucha, krótko wyjaśnię co i jak: przez garbowanie uodparnia się skórę na różne szkodliwe wpływy wody, kwasów i zasad oraz temperatury. Więcej laik wiedzieć nie musi. Za to o wiele więcej wiedzieć muszą ci tamtejsi „ludzie od garbowania". Ażeby dojść do jak najlepszych wyników, zorganizowali sobie tam specjalne laboratorium (którego przed wojną nie było). W tym laboratorium króluje nad mnóstwem próbówek, retort, szklanek, flaszek i ogników mgr Henryk **Lisik**, dbając o dobro skóry (obcej zwierzącej i własnej ludzkiej), obok niego głowi się nad udoskonaleniem procesu garbowania chemik Antoni **Ornaf**, który oprowadza mnie jako kierownik garbarni i farbiarni po labiryncie pełnym kadzi, beczek, bębnów i gryzącego zapachu. Trzeciw z kolei moim ciceronem był p. **Lutosławski** Antoni, kierownik fabryki rękawiczek, mistrz rękawiczniczy z przeszło 20-letnią wszechstronną praktyką. Są to ludzie znający się doskonale na rzeczy. Nie, partaczy tam w ogóle nie ma.

Nie będę nudził drobiazgowym opisywaniem poszczególnych etapów, które przechodzi skóra jagnięcia lub kozłowa, barania albo dziczyzny i węża. Jeśli się wszystko widzi na własne oczy, jest to bardzo ciekawe, ale same opisy jakoś nudzą, powiem więc krótko: skórę moczą w rozczynach chemicznych, odwłasiają, moczą, gładzą, moczą, czyszczą, moczą, bajcują, moczą, płuczą, moczą, garbują. Dla specjalistów dodam: w brzeczce chromowej. Dużo mokrej roboty, dlatego nazywają miejsce tej kaźni skórzanej też mokrym warsztatem. Ale na tym jeszcze nie koniec: skórę trzeba też farbować, niwelować, gładzić, wyżymać, suszyć, rozciągać, mierzyć — i dopiero potem może iść ona do dalszej obróbki: do fabryki rękawiczek. Robotnicy w garbarni otrzymują, jako środek zapobiegawczy przeciw chorobom, codziennie pół litra mleka, bo zapach tam jest czasem taki, że mówić o nim już trzeba jako o zaduchu i smrodzie, który może zaszkodzić zdrowiu. A płacę — jak mi mówili — też otrzymują dobrą, nawet bardzo dobrą, jeśli chodzi o przodowników pracy. Jeden z tych przodujących, p. Leon Urbański, pochodzi z Poznania, drugi p. Błażejewicz Edward z Kalisza — obaj wyglądają dobrze, lubią się śmiać i wcale nie widać zmęczenia — mimo że wykonują robotę ponad 200 proc. normy. Niemca w garbarni ani jednego, w kwietniu 1946 opuścił ostatni Niemiec fabrykę. A przedwojennego właściciela tej fabryki — Alfreda Scholza, jednego z bogatszych ludzi w Niemczech, rzecz zrozumiała, już nie było w czasie, kiedy stamtąd pierzchała ostatnia kompania sił zbrojnych niemieckich.

„Z garbarni proszę za mną do fabryki rękawiczek!" Zupełnie tu inny obraz: w garbarni w stu procentach mężczyźni — w dziale rękawiczek: w większości pracują kobiety. Tu jeszcze raz poddaje się skórę wnikliwemu badaniu i obróbce, bo rękawicznicy nie ze wszystkiego są zadowoleni, co im garbarnia dostarcza, nie: rękawicznicy są bardzo wybredni, wiedząc, że klient, a zwłaszcza klientka, są o wiele bardziej wymagający! Jak już skóra nabrała pod wprawną jakiegoś pracownika ręką wyglądu bez zarzutu, można z niej zacząć wykrawać rękawiczki, których ostateczna forma przed zszywaniem powstaje jednak pod sztancą, a szereg panienek pochylonych nad różnymi maszynami w różny sposób zszywa z poszczególnych części i kawałków piękne rękawiczki męskie (Nappa) i damskie. W niektóre zimowe dodają jeszcze ciepłe podszywki futerkowe. Prócz rękawiczek wyrabia się także pierwszorzędne pilotki dla motocyklistów.

Muszę jeszcze nadmienić, że i tu odznaczyli się przodownicy i przodowniczki, wykonując wiele ponad normę. Podaję niektórych asów (200 do 300 proc.): w przykrawalni Zygmunt Józef i Jawień Mieczysław, w czwalni Wacięga Władysława i Gondek Irena, w pilotkarni Pilarska Krystyna i Lejzer Izakson.

Pracują dobrze i wytrwale w tej świdnickiej fabryce. Sami Polacy. Albo są to fachowcy przedwojenni, albo fachowcy powojenni, wyrośli z kursów, które na terenie fabryki zorganizowali przedsiębiorczy kierownicy odnośnych oddziałów. Produkcja dzięki temu stale się polepsza i podnosi: w roku 1945 (fabrykę uruchomiono we wrześniu) wygarbowano miesięcznie 900 m kw. skóry; w roku 1948 wygarbowano mies. już 6000 m kw. skóry; w roku 1945 wykończono miesięcznie 3500 par rękawiczek; w roku 1948 wykończono miesięcznie już 9000 par rękawiczek.

Skok olbrzymi naprzód. I będzie jeszcze lepiej! W ogólnopaństwowym planie wyrobu rękawiczek mamy wykonać w roku 1955 półtora miliona par rękawiczek. I uda się to, bo 1. w Świdnicy pracuje się całą parą i 2. ważniejsze, z Świdnicy wychodzi wielka ilość doskonałych fachowców. Można więc powiedzieć, że Świdnica — to kolebka polskich rękawiczek, które mają zdobyć świat.

Dziś już zakłady świdnickie coraz bardziej uniezależniają się od zagranicy, zwłaszcza jeśli chodzi o narzędzia do produkcji. W własnych warsztatach dorabia się zepsute i nadwyrężone części maszyn. Własna stolarnia i inne „zakłady w zakładzie" odwróciły niebezpieczeństwo zahamowania procesu pracy, gdyż zaradność i pomysłowość polskiego pracownika naprawiają szkody, niezależnie od świata zewnętrznego.

A jak czuje się robotnik? Dobrze! bo ma świetlicę i park do dyspozycji, z dobrze zaopatrzonej biblioteki może sobie wypożyczać książki, karmią go smacznymi obiadami i kawy może pić ile się zmieści. Z fabrycznego ogrodu warzywnego może zakupić taniej niż na rynku jarzynę, tzn. jeśli kuchnia zakładowa wszystkiego nie może zużyć — a w jesieni zwykle owoc z własnego sadu za taniochę mu się dostanie. Sprawy mieszkaniowe także coraz lepiej się układają, kto pracuje — ma dach nad głową, fabryka bowiem zarządza sześcioma blokami mieszkalnymi. Pomoc sanitarna — obok przychodni lekarskiej — jest na miejscu i funkcjonuje wyśmienicie. W przygotowaniu jest i żłóbek dla dzieci pracowników.

Ale mam jeszcze coś na sercu. Otóż słuchajcie, Świdniczanie! Macie tam między wami Łużyczankę! I to nie byle jaką, bo córkę przewodniczącego Komitetu Słowiańskiego na Łużycach — córkę prof. Michała Nawki.

Co to ma wspólnego z garbarnią i fabryką rękawiczek? Dużo — bo ta Łużyczanka jest żoną jednego z waszych współpracowników, żoną owego kierownika — chemika p. A. Ornafa, który mnie oprowadzał po garbarni. Nie mogłem się nadziwić, kiedy dowiedziałem się, że zwykle dość mądrzy mieszkańcy powojennej Świdnicy, na tym punkcie są bardzo, a to bardzo zacofani, bo mieszają Łużyczan z... Niemcami. Słyszeliście coś podobnego?! Potrzebny byłby tu dłuższy referat o Łużycach, ale teraz nie ma na to ani czasu, ani miejsca, ale tyle choć powiem, zacni pionierzy w kochanej Świdnicy: Łużyczanie są Słowianami zachodnimi, sąsiadami Polski nad Nisą Łużycką, którzy mimo tysiącletniej niewoli zachowali po dzień dzisiejszy swój język słowiański i swoją bardzo wysoką kulturę słowiańską. Zastanówcie się, pomyślcie, co to znaczy tysiącletnia niewola i zapewne w rezultacie powiecie tak samo, jak wielki pisarz polski I. J. Kraszewski: „schylmy czoła przed Łużyczanami!" A ja proszę usilnie: skorygujcie natychmiast swoje błędne zdanie o Łużyczance p. Ornafowej. Czym prędzej naprawcie krzywdę i przeproście choć w duchu p. Marhatę Ornafową z domu łużyckiego!

Podobała mi się Świdnica bardzo — ale ten grzech (przypuszczam nieświadomy), to ustosunkowanie się do córki narodu łużyckiego, mnie strasznie zabolało. Wierzę jednak, że jak wiele innych rzeczy i tej się prawdy nauczycie w lot, że Łużyczanie — to bratni wasz szczep, tysiąc lat temu i dziś.

Ulgowe warunki osadnictwa rolnego w r. 1948

Przywiązując wielką wagę do sprawy dokwaterowywania Ministerstwo Ziem Odzyskanych zwróciło się do Wojewódzkich Rad Społecznych i terenowych Rad Społecznych O. S. P. z prośbą omówienia tego zagadnienia na najbliższych posiedzeniach przy udziale miejscowych przedstawicieli Związku Samopomocy Chłopskiej, Komitetu Jedności Organizacji Młodzieżowych, organizacji społecznych oraz partii politycznych, by przy każdej nadającej się sposobności informowały ludność przez swe placówki w terenie o prowadzonej akcji dokwaterowania, a w związku z tym i o dużych jeszcze możliwościach osiedleńczych na Ziemiach Odzyskanych.

Ministerstwo podkreśla, że akcja ta w obecnych warunkach przedstawia jedyną możliwość dla ludności bezrolnej lub posiadającej gospodarstwa karłowate zdobycia samowystarczalnych gospodarstw rolnych.

W związku z powyższym i wobec znacznej poprawy warunków gospodarczych na Ziemiach Odzyskanych, wymagania, którym winny odpowiadać rodziny ubiegające się o przydział gospodarstw pełnorolnych, a szczególnie wymagania, odnoszące się do inwentarza żywego, ulegają aż do odwołania złagodzeniu, jak następuje:

1. Zezwala się na przesiedlenie rodzin, zabierających ze sobą co najmniej konia lub krowę;

2. zezwala się na przesiedlenie rodzin bez inwentarza, jednak liczba tych rodzin nie może przekraczać 30% ogółu przesiedlanych z terenu danego powiatu.

Wymagania jednak, odnoszące się do ilości rąk roboczych, utrzymuje się w mocy we wszystkich formach osadnictwa.

Jednocześnie Ministerstwo Z. O. komunikuje, że dla wszystkich osiedlonych w r. 1948 przewidziane są kredyty w bieżącym okresie jesiennym na pomoc w zasiewach i orce na ogólną sumę 400 mil. zł, jako kredyty średnioterminowe, oraz przewiduje się sumę 300 mil. zł, jako kredyty krótkoterminowe.

Również inne kredyty, przewidziane na pomoc dla osadnictwa, przeznaczone są przede wszystkim dla osiedlonych w bieżącym roku. Do kredytów tych należą:

1. kredyt na III kwartał w kwocie 350 mil. zł dla osadnictwa indywidualnego oraz 60 mil. zł dla osadnictwa grupowego — na zakup inwentarzy żywych, oraz kredyt w kwocie 100 mil. zł na drobne remonty budynków oraz na zakup lub remont inwentarza martwego. Są to kredyty średnioterminowe, spłacane w trzech ratach rocznych;

2. kredyt na pomoc budowlaną, ustalony na rok 1948 w kwocie 2.234 mil. zł;

3. kredyt na zakup nawozów sztucznych w okresie jesiennym rb. Poza tym większą ilość koni, pochodzących z importu, zostanie skierowana na Ziemie Odzyskane i będzie przede wszystkim rozdzielona pomiędzy przesiedlających się w roku bieżącym.

Konkurs na trzy reportaże

Biuro Propagandy Wystawy Ziem Odzyskanych ogłasza trzy konkursy na najlepsze reportaże z WZO.

Temat: Dowolny temat dotyczący Wystawy Ziem Odzyskanych lub jej poszczególnych fragmentów. Reportaże mogą dotyczyć zarówno terenów „A" jak i terenów „B".

Uczestnictwo: Uczestnikiem konkursu może być każdy członek Związku Zawodowego Dziennikarzy R. P. lub też Związku Zawodowego Literatów Polskich. Każdy z uczestników może nadesłać dowolną ilość prac.

Warunki: Reportaże muszą być wydrukowane w prasie codziennej lub periodycznej. Długość dowolna, ilustracje pożądane.

Terminy: Pierwszy konkurs obejmuje okres miesiąca lipca, drugi konkurs okres miesiąca sierpnia, trzeci konkurs okres miesiąca września. Przyznanie nagród nastąpi w okresie dwu tygodni, licząc od dnia zamknięcia konkursu.

Nagrody: W każdym z konkursów wyznacza się następujące nagrody:

pierwsza nagroda	30.000 zł.
druga nagroda	20.000 zł,
pięć dalszych nagród po	5.000 zł.

Biuro Propagandy WZO, Spółdz. Wyd. „Ingnos" zastrzega sobie dowolne wykorzystanie w całości lub w części nagrodzonych prac.

Egzemplarze wydawnictw, w których ukazały się reportaże należy nadsyłać pod adresem: Spółdz. Wyd. „Ingos", Warszawa, ul. Mochnackiego 17. m. 3, (tel. 830-23) z zaznaczeniem na kopercie „Konkurs WZO". Skład jury ogłoszony będzie później.

Praca i działalność PZZ

Zakończenie kursów repolonizacyjnych w Sopocie

Dnia 30 czerwca br. w Szkole Powszechnej nr 4 w Sopocie odbyło się uroczyste zakończenie kursów repolonizacyjnych prowadzonych przez Polski Związek Zachodni. Na uroczystość przybyli przedstawiciele władz i urzędów z przewodniczącym M. R. N ob. Śliwińskim na czele, przedstawicieli partii i organizacji społecznych.

Po odśpiewaniu hymnu narodowego przez słuchaczy kursów przemówił do zgromadzonych wiceprezes Obwodu P. Z. Z. ob. Glatte. Mówca nawiązując do brutalnych metod germanizowania rdzennej ludności miejscowej przez Niemców, co mimo wszystko nie zdołało zniszczyć ducha polskiego, przeciwstawił im polską politykę oświatową i kulturalną.

Następnie zabrał głos przewodniczący M. R. N. m. Sopotu ob. Śliwiński, który w swoim przemówieniu zaakcentował wielką rolę P. Z. Z., i przedstawił osiągnięcia Polski po wojnie.

Inspektor szkolny ob. Siedlecki złożył podziękowanie Miejskiej Radzie Narodowej m. Sopotu za wydatną pomoc finansową, która dopomogła Polskiemu Związkowi Zachodniemu w pełnej realizacji programu kursów, oraz gronu nauczycielskiemu za owocną pracę.

Następnie dwóch słuchaczy kursów wygłosiło prelekcję będące ilustracją zdobytych przez nich wiadomości z historii polskiej i języka polskiego. Patriotyczny wiersz pt. „Idziemy do ciebie matko nasza miła" wygłosiła słuchaczka Monika Przepiórkówna. Wiersz pt. „Kocham cię święta moja Ojczyzno" wygłosiła ob. Sobota S. Prelekcje i deklamacje były pochlebnym świadectwem osiągnięć kursów repolonizacyjnych w ciągu 4-miesięcznego okresu nauki. W imieniu słuchaczy podziękował Zarządowi P. Z. Z. i gronu nauczycielskiemu ob. Draheim.

Po chóralnym odśpiewaniu przez słuchaczy kilku pieśni — nastąpiło rozdanie świadectw i wręczenie przez przewodniczącego M. R. N. wyróżnionej słuchaczce ob. Colbe książki M. Pelczara „Polski Gdańsk". Na zakończenie odśpiewano „Rotę".

Na marginesie należy podkreślić, że na 133 słuchaczy z wynikiem pozytywnym ukończyło kursy 104 osoby.

Centrala Farb
H. PUKACKI, POZNAŃ
ul. Dąbrowskiego 34 - Tel. 34-09
poleca wszelkie
farby, lakiery
i przybory malarskie
1034

Działalność obwodu Częstochowa

Posiedzeń Zarządu Obwodu odbyło się 4, Prezydium Zarządu — 1, Sekcji Imprezowej — 3.

Obwód podjął akcję w sprawie przyjęcia wycieczki grupy teatralnej PZZ z Lublina i wystawienia w Teatrze Miejskim widowisko „Wesele Lubelskie" w dniu 4 lipca br.

W dniu 21 czerwca br. odbyło się w sali Miejskiej Rady Narodowej posiedzenie Komitetu Opieki nad Grobami Bohaterów, na którym wybrano na przewodniczącego Komitetu prof. Zamiarę Marcina, prezesa Miejskiej Rady Narodowej, wiceprzewodniczącego Komitetu prof. mjr. Myczkowódcę Garnizonu, przewodniczącego przewodniczącego komisji rewizyjnej mjr. Świtała.

Na posiedzeniu postanowiono powołać komisję, poprosić przedstawicieli Starostwa Powiatowego i Grodzkiego, artystów-plastyków, celem opracowania planu pomnika na miejscu kaźni w Olsztynie.

W okresie uroczystości „Dni Morza" P. Z. Z. współpracował z Ligą Morską w Częstochowie. Koło P. Z. Z. w powiecie weszły do Komitetów Wykonawczych „Dni Morza" i urządziły akademie.

„Hurt Galanterii"
Maria Bruździńska
Kazimiera Kalkstein
Poznań, św. Marcin 6 I. p.
Telefon 92-55
310

Staje przed nami dziatwa

która Polskę zna tylko z opowiadania

Dziatwa z Berlina

Oczekiwane transporty dzieci polskich z zagranicy nadchodzą. Zawinęli już do Gdańska nasi mali goście z Danii, powietrzem morskim oddycha już od kilku dni 200 dzieci polskich z Zaolzia, przybyły do kraju dzieci z Berlina (96) i w dalszych transportach przyjechało 1100 dzieci do kraju ojczystego z Westfalii z dzielnicy Bochum.

Na wszystkich punktach przyjęcia dzieci, w Gdańsku, Szczecinie, Międzylesiu i Poznaniu witały dzieci władze szkolne, delegaci Komisji Wczasów, przedstawiciele Polskiego Związku Zachodniego, RTPD i Ligi Kobiet. Najbliższe transporty przybędą z Francji, Belgii i Węgier.

Dzieci z Danii są w doskonałych humorach. Przyjechały Batorym. Po polsku rozumieją trochę, a mówią jeszcze mniej Wakacje spędzą na Dolnym Śląsku.

96 dzieci z Berlina, przyjmowanych uroczyście w Poznaniu, czuje się bardzo dobrze w kraju. Podróżą nie były bardzo zmęczone. Mówią i rozumieją po polsku zupełnie dobrze. Na dworcu oczekiwali ich delegaci Kuratorium i przedstawiciele organizacyj społecznych. Dzieci wypoczęły w Poznaniu i udały się w dalszą drogę na Kolonie Okręgu Szkolnego Łódzkiego. Transport prowadził kpt. Kaczmarek z Polskiej Misji Wojskowej w Berlinie.

Piątego lipca na dworzec szczeciński zajechało z górą 20 wagonów pociągu sanitarnego z transportem dzieci z Westfalii. Przesuwa się długi rząd wagonów. Dzieci leżą wygodnie na pryczach, z radością widzimy, że wagon ambulatorium jest zupełnie pusty. W niektórych wagonach grają, śpiewają. Cały pociąg jest udekorowany zielonymi gałęziami. Przed oczekującymi na stacji dziećmi z kolonii RTPD, delegatami Ministerstwa Oświaty, Kuratorium z kuratorem O. S. szczecińskiego Łasikiem na czele i przedstawicielami organizacyj społecznych ustawia się długi szereg dzieci z dzielnicy Bochum. Na dzieciach nie bardzo widać zmęczenie. Zamieniamy kilka słów z kierownikiem transportu nacz. Grajewskim Podróż była na ogół dobra, dzieci są zdrowe, tylko opiekunowie są bardzo zmęczeni. Następują krótkie, serdeczne przemówienia.

Delegat Min. Oświaty nacz. Panek wita dzieci jako członków jednej wielkiej rodziny, nie jako gości. „Wnikajcie tu w ducha nowej Polski, Polski robotnika, chłopa, inteligenta i Polski dziecka. Skoro wrócicie powiedźcie swoim, że miejsce ich jest tutaj". Kurator Okręgu Szkolnego szczecińskiego powitał dzieci jako gospodarz ziemi, na którą dzieci przybyły. „Nadeszła dla Was szczęśliwa chwila Waszego przyjazdu do kraju. Zgotował Wam ją Rząd, który wyrównuje krzywdy dziecka robotniczego. Staraliśmy się o Wasz przyjazd, by Wam dać uśmiech słońca wolności i pokazać Polskę Ludową".

Podjęty przez wszystkich okrzyk na cześć Prezydenta R. P. a zarazem Protektora akcji wczasów dla dzieci polskich z zagranicy rozległ się szerokim echem po dworcu szczecińskim.

Gorący wyraz radości z przybycia do kraju dał nacz. Grajewski — kierownik transportu dzieci.

„Przynoszę Waw najserdeczniejsze pozdrowienia od Polaków z Westfalii. Spełniają się marzenia dzieci, które nareszcie widzą Polskę. Staje przed Wami dziatwa, która zna Polskę tylko z opowiadania". Naczelnik Grajewski podkreślił fakt, że dzieci, które przyjechały, są drugim albo trzecim pokoleniem Polaków, którzy wyemigrowali. Dzieci te wychowują się w trudnych dla polskości warunkach, z trudem mówią po polsku. „Jesteśmy Polakami i tego żadna moc nie zmieni" — zakończył swoje przemówienie ob. Grajewski.

W Szczecinie pozostały dzieci na jednodniowy odpoczynek, skąd rozjechały się zespołami na 6-tygodniowy pobyt wypoczynkowy na tereny województw: Krakowskiego, Górno- i Dolnośląskiego i pomorskiego.

Społeczeństwo po staropolsku ugości i otoczy serdeczną życzliwością małych gości, mówiących przeważnie twardo po polsku. Spotkać będzie ich można na koloniach rozsianych po całej Polsce. Od wszystkich, którzy się z tymi dziećmi spotkają zależy jaki obraz kraju wywiezie do swoich dziatwa, która dotąd znała Polskę tylko z opowiadania. Życzymy dzieciom jak najlepszych wakacji między swymi.

D. Sz.

Ogniska stonki na Ziemi Lubuskiej

Nie ma potrzeby tłumaczyć, że pojawienie się jakiegokolwiek szkodnika — stanowi dla naszego zniszczonego i wyczerpanego wojną i okupacją kraju poważny kłopot. Z chwilą, gdy szkodnik występuje masowo lub opanuje pewne przestrzenie — wówczas ten kłopot przeobraża się w poważne niebezpieczeństwo.

Do takich szkodników należy stonka ziemniaczana, przybyła do nas z zachodu. Stonka — mały chrząszcz długości ok. 1 cm. barwy żółtoróżowawej, podobny do biedronki — pojawił się w roku 1934 w Niemczech, później objął swym zasięgiem Belgię, Hiszpanię Holandię i Szwajcarię. Niemcy wypowiedziały stonce bardzo ostrą walkę, mimo to jednak w roku 1943 owad ten dociera do Odry.

W chwili obecnej mamy i my kilka ognisk Walkę z tym szkodnikiem rozpoczęliśmy jednak już w roku ub. Jeżeli chodzi o Ziemię Lubuską — akcja przeciwstonkowa prowadzona powinna być szczególnie energicznie. Dotychczas meldunki doniosły o dwóch ogniskach: 1. gmina Brójce gromada Chociszew, pow. międzyrzecki i 2. miejscowość i gmina Gądków Wielki, pow. słubicki W obu tych miejscowościach stwierdzono świeże naloty i w obu od razu rozpoczęto energiczną walkę.

Ponieważ likwidacja ogniska i nie dopuszczenie do rozprzestrzenienia się stonki wymaga czujnej uwagi całej ludności, dlatego wszyscy powinni bez ociągania się wziąć udział w zorganizowanej walce, podporządkowując się Powiatowym Komitetom Ochrony Roślin Szczególnie pomocni mogą tu być repatrianci którzy z problemem stonki zetknęli się już osobiście. Stonka jest ogromnie płodnym owadem W krótkim stosunkowo czasie „wypuszcza" w teren kilkanaście tysięcy potomstwa Chrząszcze wyszłe z ziemi po przezimowaniu są niezwykle żarłoczne. Zjadają młode pędy ziemniaczane Szkody wyrządzone przez tego chrząszcza idą nieraz w miliony złotych i mogą doprowadzić do całkowitego zniszczenia rośliny.

Do środków ratunkowych należy przede wszystkim ogłoszenie alarmu przeciwstonkowego. Odbywają się grupowe poszukiwania. Przeszukuje się kartofliska, pomidory i inne rośliny z rodziny psiankowatych, nawet chwasty. Odchyla się poszczególne liście każdego krzaka. W razie złapania owada — uśmierca go się w butelce z naftą, którą każdy poszukujący musi mieć ze sobą. Miejsce znalezienia stonki natychmiast palikuje się. Butelkę ze szkodnikiem sołtys dostarcza zaraz wójtowi, ten powiadamia starostwo (Ref. Ochrony Roślin). Teren, na którym znaleziono owada otrzymuje specjalny napis ostrzegawczy. Nie wolno tu wchodzić nikomu niepowołanemu. Teren zagrożony opryskują specjalnym preparatem drużyny z odpowiednimi aparatami lub używa się do tego celu większych opryskiwaczy konnych. Wszystko to ma się rozumieć związane jest z wydatkami, które jednak trzeba ponieść, aby ratować ludzi i bydło przed widmem głodu. Na opryskanym terenie nie wolno wypasać przez 45 dni, pod groźbą śmiertelnego zatrucia. Takie samo zatrucie grozi człowiekowi w wypadku nie zachowania specjalnych ostrożności. Zresztą szczegóły akcji objaśni odpowiedni instruktor w terenie.

Chodzi nam przede wszystkim o zwrócenie uwagi ludności. Oto, by nie lekceważyła żadnych rozporządzeń i apeli władz, lecz solidarnie współdziałała w akcji. Pamiętajmy, że stonka, którą dopuścimy do wnętrza kraju — zagraża nam i naszemu inwentarzowi głodem.

St. S.

„Marynarze ze statku „Kolno"
Tak wygląda praca robotników ostukających burty statku i oczyszczających ją ze starej farby

Kronika słowiańska

Nowy Zarząd Tow. Przyj. Łużyc w Krakowie

W Krakowie odbyło się walne zgromadzenie Towarzystwa Przyjaciół Łużyc. Obrady zagaił wiceprezes T. P. Ł. radca dr St. Strzemecki, który podkreślił konieczność pogłębiania znajomości narodu łużyckiego w społeczeństwie polskim. Sprawozdanie z działalności Towarzystwa wygłosił sekretarz TPŁ A. Puchałka-Zabrzeski, po czym zabrał głos przewodniczący Oddziału krakowskiego Komitetu Słowiańskiego prof. U. J dr Tadeusz St. Grabowski, obrazując prace Zarządu Towarzystwa. Na wniosek Komisji Rewizyjnej walne zgromadzenie uchwaliło jednogłośnie udzielenie absolutorium ustępującemu zarządowi.

Następnie dokonano wyboru nowego zarządu, do którego weszli: doc. U. J. dr Krystyna **Pieradzka** jako prezes, dr St. **Strzemecki** i prof. dr Tad. **Grabowski** jako wiceprezesi, dyr. A. **Puchałka-Zabrzeski** jako sekretarz, art.-mal. Karol **Gajewski** jako skarbnik, oraz **A. Dobrowolska, Z. Domaniewska, dr M. Dyleżanka, prof. dr V. Francic, dr T. Mildner, inż. dr P. Olszewski, prof. dr K. Piwarski, prof. dr J. Szaflarski, B. Tomkówna, prof. dr. W. Taszycki i prof. dr J. Widajewicz.**

W toku ożywionej dyskusji, obecni podkreślili konieczność kontynuowania prac Towarzystwa z niesłychaną energią, tym bardziej, iż sytuacja na Łużycach uległa, dzięki wielkodusznemu stanowisku Rządu Radzieckiego, całkowitemu wyjaśnieniu. Na zakończenie nowoobrany prezes Towarzystwa doc. dr K Pieradzka nakreśliła szkicowo projekt działalności na najbliższy okres.

Pod hasłem: „Walka o pokój"

odbywa się kongres intelektualistów we Wrocławiu

W okresie Wystawy Ziem Odzyskanych zapowiedziany jest we Wrocławiu w dniach 24 do 29 sierpnia Zjazd Intelektualistów. Na Zjeździe tym reprezentowane będą przez swych najwybitniejszych przedstawicieli największe ośrodki naukowe Polski i zagranicy. Spodziewany jest przyjazd około 500 uczonych z zagranicy, oraz 300 polskich uczonych nie licząc wrocławskich uczonych i publicystów. Gospodarzem Zjazdu we Wrocławiu będzie rektor Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu prof. dr Stanisław Kulczyński.

Uniwersytet wrocławski rozpoczął staranne przygotowania do przyjęcia gości. Utworzono biuro informacyjno-kwaterunkowe, dla wstępnych prac techniczno-organizacyjnych. W pośpiechu kończy się remont lewego skrzydła głównego gmachu Uniwersytetu na pl. Uniwersyteckim; w najbliższych dniach referat techniczny Uniwersytetu przystępuje do odnowienia wspaniałej, zabytkowej auli uniwersyteckiej, gdzie odbywać się będą plenarne posiedzenia Zjazdu. W pięknie odremontowanych salach będą miały miejsce konferencje poszczególnych Sekcji Zjazdu.

Aby umożliwić członkom Zjazdu zapoznanie się z bieżącymi pracami i dorobkiem naukowym tej rozwijającej się z każdym dniem i z każdym dniem zdobywającej coraz to nowe uznanie, polskiej wyższej uczelni we Wrocławiu, Rektor zarządził wstrzymanie na okres Zjazdu urlopów profesorów-kierowników poszczególnych Zakładów Uniwersytetu i Politechniki.

Tak jak Wystawa będzie niezbitym dowodem hartu ducha polskiego i przeglądem wspaniałych rezultatów wysiłków rąk polskiego robotnika i umysłu polskiego intelgenta w codziennej twardej pracy nad ugruntowaniem na długie pokolenia polskości na tych starych piastowskich ziemiach, tak Zjazd ten odbywający się pod hasem „Walka o pokój" właśnie tu we Wrocławiu, będzie dokumentem szerszych wysiłków polskiej myśli naukowej nad utrzymaniem pokoju światowego dla dobra ludzkości.

„Tydzień Ziem Zachodnich" wśród Polonii w Niemczech

W dniu 20 czerwca br. odbyły się w Herne uroczystości „Tygodnia Ziem Zachodnich" zorganizowane przez Związek Polaków w Niemczech. Na uroczystym zebraniu 99 Gromad Zw. Polaków w Niemczech Siedziba Bochum — uchwaliło poniższą rezolucję:

„Mężowie zaufania Związku Polaków w Niemczech — Siedziba Bochum — zgromadzeni na konferencji w Herne, w dniu 20 czerwca 1948 r. w tegorocznym obchodzie „Tygodnia Ziem Odzyskanych" łączymy się duchowo z całym Narodem Polskim.

Polacy z Westfalii i Nadrenii uważają, że obowiązek swój spełnią najlepiej dla dobra Ojczyzny i Narodu Polskiego, jeżeli stawiać będą żywe pomniki na Ziemiach Odzyskanych.

Stąd więc powrót „Westfalaków" na tereny zachodnie, prastare ziemie piastowskie to jeden z naczelnych zadań chwili obecnej".

WULKA
A. Pakulski i M. Strzelczyk
Poznań, Wały Warneńczyka przy Forcie Grollmana
Telefon 98-65
Wulkanizuje wszelkie wymiary opon dętek samochodowych Naprawę samochodów wstawianie wulców do opon wykonuje szybko i solidnie
Zakup używanych opon na materiał naprawkowy 3185

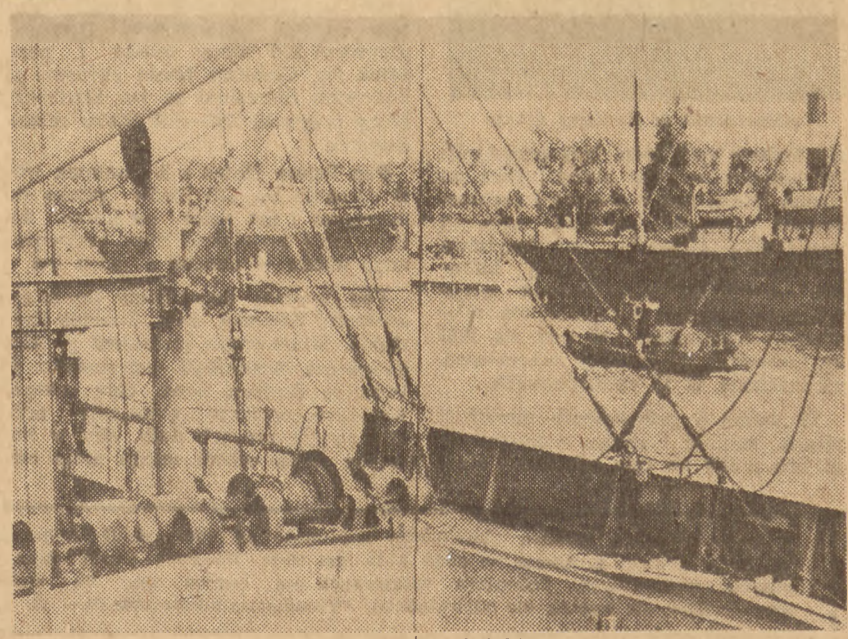

W porcie gdańskim

STANISŁAW SAWICKI

Ziemia mlekiem płynąca

Dorobek mleczarski na Ziemi Lubuskiej

Największym województwem w Polsce jest województwo poznańskie, składające się z 52 powiatów. Zachodnią część tego województwa, tworzy Ziemia Lubuska o 13 powiatach. Powierzchnia całego województwa wynosi 28 325 km kw. a Ziemi Lubuskiej — 11 064 km kw. Na terenie całego województwa mieszka około 3 miliony mieszkańców. Na wsi żyje przeszło półtora miliona ludzi, w tym we wsiach Ziemi Lubuskiej — około trzystu tysięcy. Przez Ziemię Lubuską płyną następują-

Spółdzielcza Mleczarnia w Świebodzinie (po zdewastowaniu w roku 1945 dziś w odbudowie)

ce, większe rzeki: Odra, Odrzyca, Obra, Warta i Noteć. Nad tymi rzekami ciągną się łąki o wysokej wartości traw. Doskonałe to tereny dla chłopów, by nastawiać swą gospodarkę na hodowlę bydła rogatego. Prócz łąk, lasów, sadów i ziemi ornej, jako bogactwa naturalnego tej ziemi, spotykamy tutaj bogactwo wielkiej miary, jakim jest człowiek, jego praca i organizacja na odcinku mleczarskim i jajczarskim w ruchu spółdzielczym. Rozwijający się ruch mleczarsko-jajczarski na Ziemi Lubuskiej jest właśnie tym ramieniem gospodarczym mas pracujących, jest tym instrumentem zaspakajania ich codziennych potrzeb, jest też ich inicjatywą społeczną, złączoną nierozerwalnie z planową gospodarką państwa ludowego. Solidarna współpraca i dobrze zorganizowany chłop, dają gwarancję rozwoju hodowli bydła i gospodarki nabiałowej na Ziemi Lubuskiej

Do roku 1945, okupanci niemieccy, posiadali na Ziemi Lubuskiej aż 42 zakłady mleczarskie. Gdy Niemcy zmuszeni byli do opuszczenia tych terenów — puścili z dymem 32 zakłady — pozostałe 10 zakładów tak zdewastowali, że utrudnili w nich pracę na przeciąg paru miesięcy. Nie ulękli

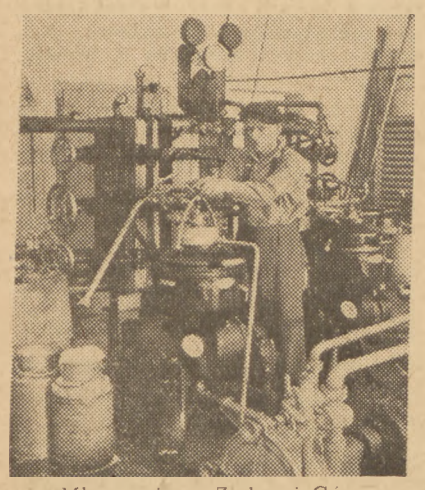

Mleczarnia w Zielonej Górze

się Polacy tych ruin, lecz przystąpili do natychmiastowej pracy. Dziś po trzech latach pracy z dumą i zadowoleniem patrzymy na nasz dorobek mleczarsko-jajczarski województwa poznańskiego wraz z Ziemią Lubuską, bo oto na całym terenie województwa pracuje: 154 spółdzielni mleczarsko-jajczarskich, w tym na Ziemi Lubuskiej 23 zakłady mleczarskie, zjednoczone w 13 spółdzielniach.

W walce o podniesienie produkcji mleka, nabiału i zboża, współzawodnictwo pracy na tym odcinku staje się jednym z przodujących czynników w rozwoju gospodarczym i kulturalnym wsi. — Do szlachetnej rywalizacji stanęła: wirówka i traktor, mleczarnia i ziemia orna.

Pionierska praca na odcinku mleczarskim w naszym województwie wraz z Ziemią Lubuską jest tego bezspornym dowodem — bowiem Rząd nasz, przy opracowywaniu planu gospodarczego na rok bieżący, słusznie przewiduje, że właśnie województwo poznańskie pokryje jedną trzecią część zapotrzebowania mleka w całym państwie. Przy opracowywaniu takiego planu brano pod uwagę, że mleczarstwo wielkopolskie obok pomorskiego jest najlepiej zorganizowane i uspółdzielczone.

Gdy pewnego dnia przybyliśmy do mleczarni w **Trzciance**, pow. Piła, poprosiliśmy kierowników mleczarni p. Wrzeszczyńskiego Franciszka i Kitę 1947 (czerwiec) — 2000 l dziennie, a w roku 1948 — 5500 litrów dziennie. Tego wszystkiego, czegośmy tu dokonali i dokonujemy nie moglibyśmy zrobić sami, gdyby nam w tej pracy nie dopomagali sami dostawcy mleka. Mleko otrzymujemy z 15 wiosek, które razem posiadają dziś 1415 krów. Udajemy się przeto do kasy, gdzie zjawia się p. Zborowska Stanisława z Białej, właścicielka 6 ha gospodarstwa rolnego. Przyszła, by podjąć zaliczkę pieniężną na dostawę mleka. Zaliczka wynosiła 5700 zł, toż to poważna kwota. Dla wzorowej i godnej zaufania dostawczyni — mleczarnia jest bankiem

Na podwórzu spotykamy dostawców mleka, którzy dziś właśnie przywieźli dziesiątki konwi. Pani Kasparewicz Apolonia z Białej, pow. Piła jest repatriantką z Rakowa spod Mołodeczna i powiada, że jej bardzo dobrze się tutaj pracuje. Leon Stochaj z Zofijewa wozi mleko do mleczarni zaledwie od dwóch tygodni, sam zorganizował dowóz mleka i z pracy swej jest bardzo zadowolony. Dziennie przywozi 300 litrow mleka i parę setek jaj. Ciekawy temat poruszył p. Bąkowski Stanisław ze wsi Siedlisko, który przywozi 450—500 litrów mleka dziennie.

Pan Pełesz Stefan z Biernatowa wozi dziennie po 400 litrów mleka do mleczarni i ma sobie za honor, by codziennie zwiększać ilość przywożonego mleka — choćby o jeden litr

Pod wieczór dojeżdżamy do miejscowości **Górecko**, pow. Strzelce Krajńskie. Kierownika mleczarni p. Kopacewicza Antoniego, księgowego p. Wójcika Stefana, oraz cały zespół współpracowników zastajemy przy końcowych pracach dnia, aby w następny dzień odbior mleka mógł odbywać się sprawnie. Dowiadujemy się, że w dniu 9. 5. 1947 r. mleczarnia rozpoczęła pracować, przyjmując przeciętnie od 73 dostawców — 700 litrów mleka dziennie, a w roku 1948 — już 2200 litrów mleka dziennie od 119 dostawców. Z dostaw mleka najlepiej wywiązują się: Górecko, Górki, Zwierzyń, Przysieka, Zagaje, Żułwin, Gościniec i Błotno.

Następnego dnia dojechaliśmy do **Świebodzina** na ul. Wałową 8 do Okr. Mleczarni, której kierownikiem jest p. Kałławro Eugeniusz, a zastępcą — p. Zebrowski Roman. Od kierownictwa mleczarni dowiadujemy się, że w dniu 15. 8. 1945 r. uruchomiono mleczarnię, przyjmując po 300 litrów mleka dziennie. W roku 1946/ — 300 do 400 litrów mleka dziennie, w 1947 — 1000—1100 litrów mleka, a w roku 1948 — 6000 litrów mleka dziennie. Okręgowa mleczarnia w Świebodzinie posiada następujące filie: Sulechów, Smardzewo, Skąpe, Ołobok, Lubże, Mostki i Szczaniec. Teren działalności naszej mleczarni posiada już 4500 sztuk krów. Chłopów utwierdza przekonanie, że warto stawiać na hodowlę, bo są ku temu warunki naturalne, jak wielkie tereny łąk. Mają też zaufanie do mleczarń, którym chętnie oddają swe nadwyżki. Ludność wsi — to repatrianci, którzy solidnie i z oddaniem się sprawie pracują dla dobra kraju. Tygodniowy zbiór jajek waha się około 6000 sztuk. Wioska Lugawa ze swą przodownicą zasługuje na specjalne podkreślenie samorzutnego zorganizowania dostawy mleka do mleczarni. Przy ul. Związkowej nr 1 w Świebodzinie, odbudowuje się z ruin mleczarnię na miejscu tej, którą Niemcy obrócili w perzynę; mleczarnia ma być w tym roku gotowa.

Ostatnim etapem naszej podróży po Ziemi Lubuskiej, była mleczarnia w **Zielonej Górze i Rybojadach**. Kierownik mleczarni, p. Basiński Mieczysław informuje nas, że w dniu 1. 5. 1948 r. mleczarnia rozpoczęła swą pracę, przyjmując 4500 litrów mleka dzien-

Mleczarnia w Górecku

nie od 150 dostawców z: Zielonej Góry, Bronkowa, Czerwińska, Nieboradza i Rybojadów. Wielkie trudności są do pokonywania na odcinku tzw. dzikiego handlu, który godzi w interes chłopa i całego świata pracy. P. Piotrowski Mikołaj ze wsi Bronków, który przed chwilą przywiózł swoją dzienną porcję mleka, bo około 600 litrów, z dumą opowiada nam o swych sukcesach przy pokonywaniu trudności z dostawą mleka w terenie. Akcja współzawodnictwa pracy około zwiększania dostaw mleka do mleczarni czyni wielkie postępy.

Dyrekcja Gimnazjum w Iłży poszukuje polonisty (z łaciną) i matematyka. Wynagrodzenie 800,— zł za godzinę miesięczną. Komunikacja dobra. Mieszkanie zapewnione. Podania kierować Kurat. Okr. Szkolnego Kieleckiego, ewentualnie — Dyrekcja Szkoły. 3236

Książki i czasopisma

Warszawa – stolica Polski

Przy współudziale Naczelnej Rady Odbudowy m. st. Warszawy i Zarządu Miasta st. Warszawy ukaże się drukiem dnia 30 września 1948 roku nakładem „Polskiego Archiwum Krajoznawczego" i Warszawskiej Spółdzielni Księgarsko - Wydawniczej „Światowid" wielkie wydawnictwo ilustracyjne pt.: Warszawa — stolica Polski — w opracowaniu Kazimierza Saysse-Tobiczyka, Jerzego Grabowskiego i Ksawerego Świerkowskiego. Wydawnictwo to, ilustrujące w kilkuset wspaniałych reprodukcjach fotograficznych minione dzieje miasta i problemy jego odbudowy, pojawi się w artystycznej szacie graficznej, w dużym formacie „in folio", na luksusowym papierze bezdrzewnym, w efektownej okładce wielobarwnej.

Treść rozdziałów: Dzieje miasta na przestrzeni wieków — Warszawa starodawna — Warszawa minionej epoki — Warszawa walcząca — Warszawa w gruzach — Warszawa w odbudowie — Wizje przyszłej Stolicy.

Prezydium Komitetu Wydawniczego: Edward Strzelecki, wiceprezydent miasta Warszawy, inż. architekt Jerzy Grabowski, sekretarz generalny Naczelnej Rady Odbudowy m. st. Warszawy i Tadeusz Wróblewski, dyrektor Oddziału Głównego Banku Gospodarstwa Spółdzielczego w Warszawie.

Redakcja ogólna, projekt i montaż: dr Kazimierz Saysse-Tobiczyk.

Masowy nakład i społeczny charakter tej publikacji, skalkulowanej niżej normalnych stawek wydawniczych, umożliwi najszerszym sferom społeczeństwa nabycie tego dokumentarnego dzieła na dogodnych warunkach w bardzo niskiej cenie. Cena egzemplarza w sprzedaży księgarskiej wyniesie 1500 zł, w przedpłacie zaś zaledwie 980 zł, tj. z 35-procentową zniżką. Zamawiający wpłaca przy zamówieniu 250 zł, resztę w dowolnych ratach do 30 września 1948 roku — po wpłacie ostatniej raty otrzyma egzemplarz wydawnictwa. Zamówienia kierować należy bądź bezpośrednio pod adresem Administracji Wydawnictwa, wpłacając przekazem pocztowym lub na konto nr 1444 w Banku Gospodarstwa Spółdzielczego w Warszawie pierwszą ratę w kwocie 250 zł, bądź też za pośrednictwem każdej księgarni.

Redakcja Wydawnictwa: „Polskie Archiwum Krajoznawcze" Spółdzielnia Wydawnicza — Warszawa, ul. Marszałkowska 72, tel. 861-70.

Administracja Wydawnictwa: Spółdzielnia Księgarsko - Wydawnicza „Światowid", Warszawa, ulica Zgoda nr 6, tel. 852-19.

KSIĄŻKI
szkolne, naukowe i powieściowe
Nuty - Mapy - Żurnale mód
poleca
Księgarnia i Skład Nut
F. CZEKALSKI
POZNAŃ, WALKI MŁODYCH NR 10
Dawniej Podgórna
3184

Nowe wydawnictwo dokumentarne „Lublin w okresie okupacji"

Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego wydało pracę sędziego Sądu Apelacyjnego Moszyńskiego i wiceprezesa Sądu Okręgowego Leopolda Polichy pt. „Lublin w okresie okupacji od 1939—1944 r." Dzieło to opracowane zostało na podstawie protokołów badań sądowych zbrodniarzy niemieckich oraz materiałów, dostarczonych przez Miejską Komisję Podania Zbrodni Niemieckich.

Znajdujemy tu materiały, dotyczące represji, stosowanych na ludności miejskiej, prześladowania kościoła i uczelni, utworzenia ghetta i wyniszczenia ludności żydowskiej, działalności Arbeitsamtu, masowych mordów, popełnionych na mieszkańcach miasta itd.

Nowy numer „Życia Słowiańskiego"

W numerze 5 „Życia Słowiańskiego" H. Świątkowski pisze o święcie 1-go Maja w Polsce. S. Trojanowski analizuje podstawy stosunków polsko-radzieckich. K. Piwarski omawia akcję antyradziecką na Zachodzie, a H. Hubert historię i znaczenie Armii Radzieckiej, postaci gen. Świerczewskiego poświęca artykuł J. Wirski, H. Batowski pisze o tradycjach przyjaźni polsko-rosyjskiej, a T. Daniszewski o „Proletariacie" pierwszej partii polskiej klasy robotniczej, M. Szulkim charakteryzuje stosunki polsko-radzieckie w okresie międzywojennym. St. Świdwiński przedstawia dzieje „Spójni" warszawskiej, znaczenie polsko-radzieckich umów gospodarczych omawiają: L. Grosfeld i M. Kaczorowski; H. Vogler zdaje sprawę z antologii „Dwa wieki poezji rosyjskiej" Stałe rubryki pisma przynoszą kronikę polityczną, gospodarczą i kulturalną, oraz przegląd prasy polski Nadto numer zdobią rysunki herbów państwowych Rosji, Ukrainy i Białorusi. Do zeszytu dodano życiorys i portret premiera bułgarskiego J. Dimitrova. Cena numeru 40 zł. Adres Redakcji i Administracji: Kraków. Basztowa 15 m. 5.

Wycieczk zamiejscowe dopiero po 25 lipca

Wobec bardzo licznych zgłoszeń wycieczek, Zlotu Młodzieżowego w dniach 21—23 lipca oraz zwiedzania WZO przez mieszkańców Wrocławia, Komisarz Rządu dla Spraw WZO wiceminister Kościński wydał apel, aby wycieczki zamiejscowe zgłaszały swój przyjazd w terminie po 25 lipca.

Starosta warszawski — J. I. Kraszewski. — Wydawnictwo Wł. Bąka Łódź—Wrocław.

Powieść ta należy do tych dzieł Kraszewskiego, które wykazują wielki jego artyzm. Jest to świetne malowidło obyczajów z czasów saskich. Znakomite wczucie się w mentalność ówczesną, zrozumienie motywów psychologicznych bohaterów, znajomość ówczesnych obyczajów i zwyczajów, głęboko interesująca akcja miłosna, składają się na całość, która od pierwszej strony książki porywa czytelnika. Jest to nietylko świetna ale i mądra powieść, jedno z największych arcydzieł Kraszewskiego. Powinna się znaleźć w każdym domu, w każdej bibliotece.

Ojcowie i dzieci — I Turgeniew — Wydawnictwo Wł. Bąka, Łódź — Wrocław.

Ojcowie i dzieci Turgeniewa należą do klasycznych dzieł ludzkości. Głębia psychologii, po mistrzowsku przeprowadzona akcja, znakomita kompozycja, język prosty ale pełny poezji, są głównymi zaletami formalnymi tego utworu. Problematyka zaś różnicy między pokoleniami, sporów z niej wynikających, jest zawsze aktualna. Powieść Turgeniewa pozostawia niezapomniane wrażenie i stanowi lekturę o najwyższych wartościach literackich. Powinna się znaleźć w każdej bibliotece. Znajomość jej jest obowiązująca dla każdego kulturalnego człowieka.

Historia o Janaszu Korczaku. — J. I. Kraszewski — Wydawnictwo Wł Bąka, Łódź — Wrocław.

Jest to jedna z najpiękniejszych i najwięcej wzruszających powieści Kraszewskiego. Treścią jej jest szlachetna miłość Janasza Korczaka do wyższej od niego stanem pięknej Miecznikówny. Miłość ta została przez Kraszewskiego przedstawiona z niezwykłą subtelnością. Tłem tej uroczej sielanki są napady Tatarów oraz wyprawa wiedeńska. Kto kocha doskonałe powieści o czystym i szlachetnym nastroju, musi posiadać w swej bibliotece tę godną największych mistrzów pióra sielankę. Jest to jedna z najwięcej czarujących powieści znakomitego powieściopisarza.

Sługa Don Kiszota. — Wojciech Bąk Wydawnictwo Wł. Bąka, Łódź — Wrocław.

Tragikomedia znanego poety nie jest bynajmniej powtórką udramatyzowaną Don Kichota Cervantesa. Autor w oryginalny sposób zmienił akcję, stawiając bohaterów genialnego powieściopisarza hiszpańskiego w nowe warunki i okoliczności. Aktualna i interesująca problematyka moralno-społeczna utworu niewątpliwie zajmie czytelnika. Don Kichot, zrzekający się posłannictwa, Sanszo Pansza, który się porywa do działalności rycerskiej — cały splot zagadnień moralnych związany z jego przeżyciami, wielkiego rycerza i jego sługi stanowi temat tego interesującego utworu.

Redaktor naczelny Bohdan Danielewski przyjmuje od godz. 10—12. Redakcja i Administracja ul. Chełmońskiego 2, czynne od godz. 8—15. Tel. 68-22. Rękopisy należy pisać na jednej stronie, pismem maszynowym. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się. Za niedostarczenie pisma, spowodowane siłą wyższą, nie odpowiadamy. Prenumerata miesięczna 50,— zł, kwartalna 150,— zł.

CENNIK OGŁOSZEŃ. Ogłoszenia za 1 mm szpalty szerokości 54 mm — 36,— zł, w tekście 100% drożej. Ogłoszenia drobne do 10 słów 50,— zł, za każde dalsze słowo — 10,— zł. Słowo tłustym drukiem, podwójnie. Wszelkie wpłaty należy kierować na konto PKO V 42-28. Omyłki nie zniekształcające treści ogłoszenia, nie upoważniają do zwrotu gotówki, ani bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. Za terminowe zamieszczenie ogłoszeń nie odpowiadamy.

Nakładem Zarządu Głównego PZZ. — Tłoczono w Państw. Pozn. Zakł. Graf. Okr. Północ — Zakł. Gł. w Poznaniu K-52 505